

Irena Krzywicka

D. R. . . . A . . . L E S N A

Sztuka w 3 aktach

/ 6 odsłonach/

O S O B Y :

DR. ANTONINA LEŚNA

DR. WINIARSKI, - dyrektor szpitala w X

DR. ZWARDON, - chirurg

WERA, - siostra szpitalna

ZIEMBEK - sekretarz organizacji partyjnej.

MAROYSIA, - salowa

MATKA, - dr. Leśnej

DOKTOROWA WINIARSKA.

SOCHA - sanitariusz

A K T I.O D S Ł O N A I.

S c e n a 1.

Ogródek przy szpitalu w prowincjonalnym mieście. W głębi majaczy spory budynek - szpital, z bliska widać domek z ganezkiem. Socha - sanitariusz szpitalny wychodzi przez ganek z mieszkania do ogrodu, siada na ławce. Marcysia - sprzątaczką salowa wbiega z wiadrem.

MAROYSIA: / przystając / No co, przyjechała ?

SOCHA: Tak z matką i dzieckiem. Trochę im ta pomogłem przy rozpakowaniu.

MARCYSIA: Nikt po nią nie wyjechał na stację ?

SOCHA: Jakto nikt ? Ja pojechałem. Doktor Zawron miał ze mną jechać, ale powiedział, że po co się ma po jakieś stare pudło trząść pięć kilometrów drogi.

MARCYSIA: No i co ? Stara ?

SOCHA: Młoda to ona nie jest. Pewno już więcej niż trzydzieści lat ma. Ale owszem sobie.

MAROYSIA: Pierwszy raz tu babę za doktora mamy. Ciekawość jaka będzie.

SOCHA: Jaka ma być. Taka sama jak nasi doktorzy. Albo to porządny doktor zechce do takiej dziury jechać ? Stary Winiarski siedzi bo siedzi od trzydziestu lat, gdzie mu tam szukać czego innego. Ale jego więcej kancelaria obchodzi jak szpital. Papuerki, wykazy, statystyki, to dla niego. Co go tam chorzy obchodzą. Kiedyś był doktor z niego, ale mu jakoś ludzie obrzydli, czy co. Lecz jak z musu, aby się prędzej pozbyć i w domu się na kanapie położyć.

MAROYSIA: Stary już, zmęczony. Za to Zawron jaki doktor !

SOCHA: Owszem, chirurg dobry, ale wiadomo, baby go obchodzą, wypić lubi, karty. To dla niego ważniejsze jak szpital. No cóż chłop młody. Borzęcki co robić jak umarł.

MAROYSIA: Tobie się zawsze zdaje, że ty byś był najlepszym doktorem.

SOCHA: A bo nie ? Gdyby się było za co uczyć. Zawsze mnie do różnych umarłaków ciągnęło. A jabym tu siedział, jakbym szpitala nie lubiał ?
A może powiesz, że ja do chorób smekalki nie mam ? Jak wtedy powiedziałem, że dzieciak ma krwotok z nosa a nie z płuc, choć mu gardłem buchało, to sam Winiarski przyznał mnie rację. A ten Zwardoń to się czasem wprost ze mną naradza.
Mówi: " Zdolny chłop, praktyka czasem więcej znaczy niż teoria ". No nie ?

MAROYSIA: / patrząc nań rozkochanym wzrokiem / Tak, Jacuś, tak.
Tybyś i teraz mógł się na doktora wyuczyć. Takie czasy przyszli.

SOCHA: Głupstwa pleciesz. Mam już trzydzieści pięć lat.
Zawsze coś takiego powiesz, że tylko ożłowieka zdenerwujesz. Głupiasz i tyle.

SCENA II.

/ Marcysia z westchnieniem wynosi kubek. Wchodzi siostra Wera w białym kitlu. /

WERA: Doktor Leśna przyjechała ?

SOCHA: / wstaje, patrzy na nią z zachwytem / Tak, Jest tam w mieszkaniu. Może siostra przysiadzie troszeczkę. Ciepło.

WERA: / siada przed gankiem / Ciekawa jestem co za megerę tu przysła. Najgorzej nie znoszę bab. Już dosyć mamy starego Winiarskiego. Jeszcze jak ona zacznie się tu rządzić. Szkoda że się zmarało Liedakowi Borzęckiemu.

SOCHA: Jaka tam szkoda. On już do reszty szpitala zapuścił.

WERA: Głupstwa pan opowiada, panie Socha. Zawsze pan znajdzie coś takiego, żeby ożłowieka zdenerwować. Nasz szpital jest jeden z najleprzych w województwie.
No i mamy taką gwiazdę jak Zwardonia.

- SOCHA: Co on tam za gwiazda...
- WERA: Gwiazda, gwiazda, tylko trzeba się na tym znać. Doję się że nam Warszawa wszeźniej czy później porwie.
- SOCHA: Tak, pani to ma się czego bać.
- WERA: Panie Socha, odkąd pan wstąpił do partii taki ma pan jakiś ton... Zuchwały!
- SOCHA: Ja i przed wojną byłem w partii.
- WERA: Ale nie dawał pan tego poznać po sobie. Zresztą ja byłem t-aka młodziutka, nie rozumiałam.
- SOCHA: Miała pani tyle lat co i ja. Dwadzieścia pięć.
- WERA: Myli się pan, ja teraz dopiero kończę trzydziści. Ale ja zawsze wiedziałam, że pan mnie lubi.
- SOCHA: No, różnie bywało. Ja przecież...
- WERA: Dobrze, dobrze panie Socha, nie wracajmy do starych spraw. I dawno już nie jesteśmy na ty. Właściwie nigdy nie byliśmy. Sto razy panu mówiłam, że ma pan o tym wszystkim zapomnieć. To jest okropne, czkowiek z nudów zrobi głupstwo i potem oake życie musi żałować.
- SOCHA: Werciu, panno Wero. Jabyrn się może wziąć do nauki. Mnie partia pomoże. Możebyrn jesz-cze teraz na doktora...
- WERA: Śmiech na sali. Stary chłop a głupi. Niech tam partia pomaga, może za rok będziesz pan doktorem albo ministern. Wtedy się może pan zgłosić; ale czekać nie myślę. Zresztą sam pan najlępiej wie: jestem zajęta. I panie Socha, salę operacyjną trzeba po Winiarskim sprzątnąć.
- SOCHA: Już sprzątnięta / wychodzi /
- WERA: / do siebie. / E, co tu będę siedziała. Później przyjdę! / wychodzi.

S O E N A III.

/ Dr. Antonina, matka wychodzą z mieszkania, siadają na ganku. /

ANTONINA: No, tu nam będzie chyba spokojnie. Taki miły domek. Ogród przy szpitalu śliczny. Chyba jesteś zadowolona.

MATKA: Dla mnie dobrze. I dla naszej. Ale ty? W takiej dżurze. Z twoimi zdolnościami! Co to był za pomysł, żeby samej, dobrowolnie podawać się na prowincję.

ANTONINA: Wiesz przecie, że miasto mnie męczy. Marysi przyda się wieś. No i przecież ktoś musi jechać na prowincję.

MATKA: Niech jadą młodzi. Mają czas przed sobą. A twoja młodość mija. Czy ty możesz kogo spotkać, wyjść za mąż?

ANTONINA: No, na tym mi najmniej zależy. Nie zamierzam się pocieszać po śmierci Stasia.

MATKA: Daj spokój. Sześć lat żałoby wystarczy.

ANTONINA: Nie mówmy o tym. Jak chcesz. Ale jesteś za młoda na to, żeby żyć tylko dla dziecka.

MATKA: Ale ja żyję też dla swojej pracy. Właśnie dlatego tu przyjechałam. Jestem tu potrzebna.

MATKA: Lekarze wszędzie są potrzebni.

ANTONINA: Tu jest ich straszliwy brak. Nie nudź mamę, tyle razy ci o tym mówię. Szpital licheń a przecież jedyny na cały okręg. Trzeba tu się ostro wziąć do roboty. Na co ty właściwie narzekasz? Będzie nam tu dobrze. Cicho, spokojnie. Ja już jestem bardzo zmęczona życiem. Warszawa wyśmagała ode mnie zbyt wielkiego napięcia.

MATKA: Sama mówisz, że tu będziesz miała mnóstwo roboty.

ANTONINA: Ależ praca jest dla mnie ucieczką od ciężkich myśli, odpoczynkiem od samej siebie. Za dużośmy już zniosły nieszczęść, borykania się, szarpania. Chcę się tu czuć potrzebna, może nawet niezbędną, chcę pra-

o.d.

zować dużo, ale spokojnie, a wieczorami siedzieć tu w ciszy z tobą i Marysią na tym ganeczku, pod tą śliczną lipą...

MATKA:

Oczyś ty miała gdzie spokój? W tobie jest duch niespokojny. Spokój mają tylko ci, których nie nie obchodzi i którzy pozwalają ludziom na różne małe świństwa, albo i na całkiem duże świństwa. Ale ty? Ty i w tym oichym kącie przewrócisz wszystko do góry nogami.

ANTONINA:

Oj nie. Ja tu będę leczyć chorych i nie więcej mnie nie obchodzi.

SCENA IV.

/Antonina - matka - Wera /

WERA:

Spieszę powitać kochaną, drogą panią doktor. Nazywam się Wera Mikosz, jestem tutajszą siostrą / mizdrzy się / . Ja pierwsza, ja pierwsza z personelu powitałam panią doktor, tak się spieszyłam bardzo chciałam być pierwsza.

MATKA:

Tu nie ma zwyczaju, żeby przyjeżdżającego doktora witał ktoś z kolegów lekarzy?

WERA:

Ach nie wiem. To doktor Zwardon nie wyjechał na spotkanie?
Jak to nieładnie, to bardzo nieładnie!

ANTONINA:

Proszę, niech siostra siada.

WERA:

Ale jaka pani doktor śliczna! Młoby się być tego spodziewać. A mówiono, że nie pierwszej młodości, że zniszczona...

ANTONINA:

Bo też nie jestem pierwszej młodości i naturalnie, można zniszczona. Może mi siostra opowie o tutejszym szpitalu, jak się tu u was pracuje, czy leczą się tu chłopcy z okolicznych wsi, a robotnicy w tej dużej fabryce? Czy starczy miejsc dla chorych?

WERA:

Och, na to będzie czas jutro.

c.d Po co dziś ma sobie pani doktor śliczną główkę utrudzać.

ANTONINA: Wolalabym, aby pani nie mówiła do mnie jak do małego dziecka. Ja jestem nie-młoda, surowa i bardzo przestrzegam dyscypliny w pracy.

WERA: Niech się pani doktor tak nie oczernia! Teraz przyszedły te socjalistyczne czasy, te przecież ma być wolność a nie dyscyplina.

ANTONINA: Socjalizm, to jest właśnie dyscyplina, siostra. Naturalnie, jeżeli o mnie chodzi, to tylko wtedy, gdy w grę wchodzi chory.

WERA: No pewnie, pewnie. Nasz naczelny dyrektor Winiarski też jest bardzo surowy. U niego wszystkie kartoteki, statystyki, no i inne papierki są zawsze we wzorowym porządku. To też nasz szpital ma doskonałą opinię.

ANTONINA: Naprawdę ?

WERA: Ale też męczydusza z tego naszego dyrektora, nie daj Boże. Cóż stary już jest. No, ale prawdziwą głową szpitala, może nie głową, ale gwiazdą jest nasz doktor Zwardoń chirurg. Powiadam pani doktor, gwiazda pierwszej wielkości ! Co za oko, co za ręka ! To jest talent.

ANTONINA: To naprawdę wspaniale. Wasz szpital ma szczęście.

WERA: A ma. Tylko że on powinien stać na czele szpitala. To mówię pani doktor w zaufaniu. Inaczej on nam pryśnie do jakiegoś dużego miasta. A byłaby nieodżałowana szkoda. Może pani doktor ma jakieś stosunki, żeby go awansować, on powinien tu zostać. Dla dobra szpitala, rozumie się, A przez stosunki można czasem dużo zrobić.

ANTONINA: / sucho/ To już do mnie nie należy.

WERA: Pewnie, pewnie, ja tylko tak mówię, bo pani doktor jeszcze w tutejszych warunkach nie zorientowana. Doktor Zwardoń bardzo się stąd wyrывa, a jakby wyglądał szpital bez niego ? Ja już

c.d.

lece, tylko wpadłam, żeby powitać, ale przecież praca, pani doktor rozumie - praca.

S C E N A V.

/ Antonina - matka /

ANTONINA:

Co o tym myślisz ?

MATKA:

Ale cóż, kocha się w tym Zwardoniu, to jasne.

ANTONINA:

Tak, to jasne. Boi się go stracić. A może jej naprawdę chodzi o szpital ?

MATKA:

Wątpię. To jeszcze ci jedno powiem: strzeż się jej.

ANTONINA:

Och ty mamo jesteś taka nieufna.

MATKA:

A ty wieczna naiwna. Pójdę już spać, dobranoc.

S C E N A VI.

/ Antonina - Socha /

/ Socha wraca /

SOCHA:

No, już wszystko w porządku. Gwoździe powbijane tam gdzie trzeba., szczyrki powynosim na strych.

ANTONINA:

Strasznie dziękuję. Pan ogromnie poczołowy. Bez męskiej pomocy nie dałabym sobie rady. Ale pan ma przecie własną pracę.

SOCHA:

Tak to naprawdę mówiąc: wyżej uszu. Choć ni- by co ja jestem sanitariusz. Ale widzi pani, choćby to właśnie: przyjeżdża nowy doktor, to nikt go nie wita, nikt się o niego nie zatroszczy. Nasz dyrektor ważny, doktor Zwardon zajęty sam sobą, doktor Borzęcki umarł i w końcu wstyd, nikt pani nie pomo- że, nikt się panią nie zajął. Ktoś prze- cie musiał o tym pomyśleć.

ANTONINA:

Pan często tak myśli o innych ?

SOCHA:

Jak potrzeba. Ale to z panią, to nie, bar- dzo mi było przyjemnie panią doktor poznać i jakąś się przysłużyć. Gorzej jak coś w samym szpitalu nawala, albo z chorymi...

ANTONINA: Też to na pana spada ?

SOCHA: Niech tylko pani doktor nie myśli, że ja lubię wściubiać nos w nie swoje sprawy. Jak wszystko idzie dobrze, to i chwala Bogu. Ale jak na kuchni zaczynają kłócić, albo jak brudy na sali, albo jak która siostrzyna zamiast siedzieć na dyżurze - na randkę leci, no to co robić, muszę się wtrącić.

ANTONINA: A co na to wtrącanie się dyrektor.

SOCHA: Nawet nie, powiada, że ja to jego prawa ręka. To niezły człowiek, ale jakiś skapcianiak, wojna go tak wytrąciła czy co. Już mu się nie chce użerać z ludźmi, ani tyrać z chorymi. Najchętniej by siedział przy biurku, wiadomo papier najcierpliwszy.

ANTONINA: A doktor Zwardoń?

SOCHA: Czy ja wiem. To już sama pani doktor zobaczy. To dobry chirurg, ja się na tym znam.

ANTONINA: Naprawdę, zna się pan ?

SOCHA: Niech się pani doktor nie śmieje. / Antonina robi przeczący ruch ręką / Ja od małości miałem pociąg do chorych. Nawet psom i kotom opatrunki zakładałem. Ojciec był cieślą, to się zawsze śmiał ze mnie, co to za robota dla mężczyzny. Chciałem się kształcić, pewno, ale jak to przed wojną. Ojciec dłużej był bez roboty, szedł na prowincję było mało, gdzie tam taki jak ja mógł o szkołach myśleć. Tyle że kursa pielęgniarstwa skończyłem. I to coś. Ale praktyka tyle znaczy, że ja dużo potrafię. Naprawdę. Jeszcze się pani doktor przekonaj.

ANTONINA: No a gdyby jeszcze teraz o kształceniu się pomyśleć ?

SOCHA: Śmieli by się ludzie ze mnie. Już się śmieją. Medycyna ! Pani myśli, że ja nie rozumiem co to znaczy ? A jeszcze przed tym maturę robić ? Gdzie mi tam ... / Milczenie / O, jeszcze taka idzie, co lubi swoją robotę. Marcyna, chodź, przywitaj się z panią doktor. Znowu z wiatrem idzie, tylkoby szorowała i sprzątała.

SCENA VII.

/ Antonina - Socha - Marcysia /

MARCYSIA:

A kiedyś sam powiedział, że choroby w brudzie siedzą.

SOCHA:

To też ona ciągle myje i okna i podłogi i chorych, wszystko co ~~ta~~ pod rękę wpadnie. Lubi przy chorych chodzić. Ciągłe... wołają.

MARCYSIA:

A kiedyś sam powiedział, że pielęgnacja ważniejsza, niż lekarstwo.

ANTONINA:

To siostra?

SOCHA:

Gdzie tam siostra, zwykła posługaczka, ledwie pisać i czytać potrafi.

MARCYSIA:

Gdzieś się miała uczyć? Dwie klasy na wsi skończyłam to i dobrze. Ale dla chorych to starcy, każdy głupi o nich dbać potrafi.

ANTONINA:

No niebardzo. Ale chorymi to już chyba zajmują się siostry.

SOCHA:

Gdzie tam. Jedna wyszła za mąż i wyjechała, druga stara, a ta siostra Wera, co ją pani doktor widziała to nie wystarczy wszystkiemu...

MARCYSIA:

Nastarczy, jak doktor Zwardon na nią patrzy.

SOCHA:

Głupio gadasz.

MARCYSIA:

Nie głupio, siostra Wera nie lubi sobie rączek brudzić. Jak doktor Zwardon widzi, to się stara, a tak to co jej tam! Ile razy inni muszą za nią robić.

SOCHA:

No bywa...

MARCYSIA:

x/ po

Co my tam będziemy przy pani doktor kogo obmawiać. Sama się przekonała. Ja kogo chorych chodzenia nie odnawiam, ja ~~x~~ sprzątam, bo ja robotę przy chorych lubię. Nikt mi nie każe, ja sama z siebie. A teraz to już lecę. Tej co miała operację wczoraj już się wiele nie należy, Trzeba przy niej posiedzieć.

SCENA VIII.

/ Antonina - Socha /

SOCHA: Dziewczyna jak złoto. Ta byłaby na siostrę, I tak naprawdę mówić, to ona dużo potrafi, nauczyła się przy patrzeniu. Zdolna. I banki i zastrzyki i nawet opatrzyć potrafi, jak potrzeba. Siostry nie raz się nią wyręczają. Tak tu czasem szpital na niefachowych si-
łach musi się opierać. / po chwili /
Zwardoń idzie, to dowiedzenia pani doktor.

SCENA IX.

/ Antonina - Zwardoń /

ZWARDOŃ: Witam, witam, przepraszam, że tak późno - Zwardoń jestem. Chciało się wyjechać na satcję, powitać pierwszemu, ale roboty huk, jak zwykle., jeszcze koleżanka nie raz nad tym ręce załamie.

ANTONINA: Nie jestem taka skłonna do łamania rąk. Ale niechże pan siada.

ZWARDOŃ: Wszystkiego się spodziewałem, ale nie tego że mi losy zesłał taką piękną koleżankę. Tu do tej dziury! Co za uroda!

ANTONINA: Jestem z pewnością strasza od pana.

ZWARDOŃ: Co za oczy! Co za figura!

ANTONINA: To tu już taki zwyczaj widocznie u was, żeby przybyłych zasypywać komplementami?

ZWARDOŃ: Jakto, czyżby nasz dyrektor? Już?

ANTONINA: Nie, siostra Wera.

ZWARDOŃ: Ach, ona ...

ANTONINA: Tak, ona mnie też przywitała zachrytami nad moją rzekomą urodą. Dziwny sposób witania kogoś w miejscu pracy.

ZWARDOŃ: Ja pani nie witam ^{dzisiaj} w miejscu pracy. To nastąpi jutro, na progu szpitala. Dziś witam uroczą sąsiadkę. Dziś jest pani dla mnie tylko kobietą.

ANTONINA: To niewiele.

ZWARDON:

Zapewniam panią, że bardzo dużo. W pracy, muszą wyznać, bywam czasem bezwzględny. Jako koleżanka niech się pani na przede mną na baczności. Za to jako kobieta będzie pani miała u mnie wszystko względy.

ANTONINA:

Kobieta, koleżanka, cóż za rozróżnienie. Chodzi przecie o jedną i tę samą osobę.

ZWARDON:

Ja bardzo rozdzielam te rzeczy.

ANTONINA:

Nie chce mi się zastanawiać nad tym, co pan mówi. Myślę, że będziemy dobrymi kolegami.

ZWARDON:

Jeżeli chce pani upraszczać, to proszę. Wolałabym jednak, aby pani była mniej ładna.

ANTONINA:

A ja wolałabym, aby pan przestał mówić na ten temat. Porozmawiajmy lepiej o szpitalu.

ZWARDON:

Dziś wieczór? Za nie! Dostyc mam tego całego dzień. I tak niewiadomo za jakie grzechy człowiek siedzi w tej dziurze, a pani chce jeszcze zatruwać taki piękny wieczór fachowymi rozmowami?

ANTONINA:

Nie jest pan zadowolony z pobytu tutaj?

ZWARDON:

Nie, skądże. Przecież to potworność tu siedzieć. Jeżeli mi się nie uda wyrwać do Warszawy, albo do jakiego większego miasta, to się powieszę! Ot, na przykład, pani jest dla mnie zagadką. Przecież pani tu przybyła z Warszawy. I po co na miłość boską, po co pani tu przyjechała?

ANTONINA:

Apelować do nas, lekarzy, by jechać na prowincję. Jesteśmy tu przecież potrzebni. A ja nie mam nic przeciwko temu, żeby siedzieć w takiej dziurze. Bardzo pragnę spokoju.

ZWARDON:

Zawód miłosny?

ANTONINA:

Mam lat 40, kolego.

ZWARDON:

To rzeczywiście więcej niż ja. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Jest pani piękną kobietą.

ANTONINA:

Więc stanowczo nie chce pan mówić dziś o sprawach szpitalnych.

ZWARDON:

Nie, za Boga, nie. Pani jest mężatką?

ANTONINA: Wdowa. A kiedy zobaczę doktora Winiańskiego ?

ZWARDON: O, jutro ma mu pani złożyć wizytę. On jest bardzo wrażliwy na punkcie hierarchji. Boi się czegoś uronić ze swego dostojęstwa.

ANTONINA: Nie musi mu ta korona mocno siedzieć na głowie, kiedy się tak boi, że mu spadnie.

ZWARDON: Właśnie. Uważa że uchybiłby sobie, gdyby tu do pani zaszedł z wizytą. Oczeka aż pani zamelduje się u niego, jako jego podwładna. Śmieszny staruch.

ANTONINA: W stosunku do niektórych ludzi, oczywiście tych głupszych, może mieć rację.

ZWARDON: Stary zdziwaczkał w tej dziurze. I nas to czeka, jeżeli tu dłużej posiedzimy.

ANTONINA: Tu z pewnością można bardzo wiele zrobić, kolego.

ZWARDON: Czyżby pani należała do gatunku kaznodziejek, albo co gorsza agitatorek. Z takimi ustami ? Nie to niemożliwe.

ANTONINA: Pan zdaje się lubi nastroje erotyczne na terenie pracy. Jeżeli się nie mylę, siostra Wera kocha się w panu.

ZWARDON: Oczywiście. I cóż z tego ?

ANTONINA: Przyszyczałony pan jest do siania spustoszeń w kobiecych sercach.

ZWARDON: Trudno takich przyszyczałeni nabyć w podobnej dziurze. Dwa, trzy złamane serca chyba się nie liczy.

ANTONINA: Spodziewa się pan teraz, że może przybędzie czwarte ?

ZWARDON: Byłbym zachwycony. Ile to serce przechowałbym dla siebie w całości co do okruszki.

ANTONINA: To serce jest z niełamliwego materiału i do nikogo nie pójdzie na przechowanie.

ZWARDON: Uf, oddycham. Nareszcie flirt z prawdziwą kobietą, a nie cielece zachwyty idiotek.

ANTONINA: Surowy jest pan dla złamanych serc.

ZWARDON: Do mi tam serce ! Nareszcie jest z kila

c.d.

porozmawiać. Niech pani wyobrazi sobie moje życie tutaj. Stary, tępy rutynista - nasz naczelny. Głupi intrygant - dr. Berzęcki, no ale umark. Prowincjonalne towarzystwo w mieście.

ANTONINA:

Uroczą siostrą Wera...

ZWARDON:

Ach, pani ciągle do niej wraca. Nieważna. Aptekarzowa w miasteczku z pretensjami do inteligencji. Przewodniczący komitetu partyjnego, który się wolaż wtrąca do naszych szpitalnych spraw!

ANTONINA:

Czy rozsądnie?

ZWARDON:

Owszem, dosyć. Ohłop nawet nie jest głupi., tylko ciągle zawraca głowę, ma jakieś dziwne wymagania, nie rozumie że to tylko prowincjonalny szpitalik a nie więcej.

ANTONINA:

Nie ma pan jakoś ambicji na punkcie swego szpitala.

ZWARDON:

Jaki on tam mój! Jeszcze gdybym był dyrektorem... Ale a to mnie za bardzo nie kusi, wolę duże miasto. A oni w partji chcieliby nawet tu zdzierać pracę nad siły.

ANTONINA:

Chcieliby żeby się robiło jak najwięcej, żeby się coś tworzyło,

ZWARDON:

Pani partyjna?

ANTONINA:

Nie.

ZWARDON:

Więc niech mnie pani nie agituje, już raz prosiłem. Ze mną to sprawa stracona. Zwłaszcza że już jestem zagitowany.

ANTONINA:

To pan jest partyjny?

ZWARDON:

Jestem.

ANTONINA:

Więc pan mnie raczej powinien agitować.

ZWARDON:

Niech pani nie będzie śmieszna. Myślę, że z panią można być szczerym. Przecież jako partyjny mam więcej szans wydostania się stąd. Tymczasem przez jakąś złośliwość widocznie trzymają mnie tu uporczywie i to na podrzędnym stanowisku. Coś niesłychanego.



ANTONINA:

Bardzo panu współczuję. Zwłaszcza jeżeli pan tylko po to wstąpił do partii.

ZWARDON:

Współczuję pani? Mówi to pani nieszczerym głosem. Widzę już jaka pani jest. Siłaczka... panna Antonina, ABO...

ANTONINA:

Co to znaczy?

ZWARDON:

Wszystkie pouczające nowelki, które czytaliśmy w szkole. Szczyt szczęścia - wegetować w zakazanej dziurze i radować serca pracą społeczną... A ja jestem pierwszorzędnym chirurgiem i chcę błyszczeć na szerszej arenie. Czy mi nie wolno?

ANTONINA:

Z pewnością wolno i z pewnością tak się stanie.

ZWARDON:

Właśnie, i zrobię wszystko aby tego dopiąć. Jestem jak czołg, zmiotam wszystkie przeszkody. Proszę pamiętać, że nie należy stawiać mi nigdy na drodze. W sprawach zawodowych kobieta przestaje być dla mnie kobietą.

ANTONINA:

Bardzo słusznie. Wydaje mi się, że między nami sprawy mogą się rozgrywać wyłącznie na gruncie zawodowym.

ZWARDON:

Tym gorzej dla pani. Ale ja nie tracę nadziei, że przejdę na grunt inny.

ANTONINA:

Może wtedy byłoby tym gorzej dla pana.

ZWARDON:

Och, czyżby była pani aż tak siebie pewna.

ANTONINA:

Nie. Tylko nie jest pan zdaje się przyzwyczajony do zawodów. Pańska próżność, która zdaje się jakt niemała, mogłaby uciepnieć.

ZWARDON:

Byłbym uszczęśliwiony. Nareszcie coś nowego. Strzeżmy się więc siebie na wzajem.

ANTONINA:

Drogi kolego. Nie mam pojęcia skąd wziął się między nami ten flirtujący ton. Może brak panu poczucia humoru? Taki ton w stosunku do kobiety starszej i to koleżanki? Musi się pan bardzo nudzić.

ZWARDON:

Je przeczę... Potwierdzam całą duszą.

ANTONINA:

Ponieważ ja się nie bardzo nadaję do celów rozrywkowych, więc proponuję panu coś innego: tak zwaną po warszawsku sztamę. Przyjaźń. Sojusz. Inaczej nie zajedziemy daleko w naszej pracy.

ZWARDON:

Chce pani zacząć od przyjaźni? Proszę bardzo. Przyjaźń ma dużo uroku, ale tylko jako wstęp do miłości.

ANTONINA:

Musi pan być bardzo młody, jeżeli bawi pana cynizm. Ja już jestem dość stara i dość dużo przeszłam, żeby brać pewne rzeczy poważnie. Dwoje ludzi pracujących razem powinno żyć w przyjaźni. A kompląkowanie tej pracy romansami raczej nie jest wskazane.

ZWARDON:

Będę posłuszny.

ANTONINA:

Dobrze, niech więc to będzie posłuszeństwo. A teraz drogi kolego dobranoc; upadam ze zmęczenia.

ZWARDON:

Jak to, już? Taka piękna noc!

ANTONINA:

Na piękne noce mogę sobie pozwolić tylko z soboty na niedzielę. I to tylko wtedy kiedy nie ma nagłych wypadków.

ZWARDON:

Ani na chwilę nie może pani zapomnieć o swoim zawodzie?

ANTONINA:

Ani na chwilę.

ZWARDON:

Takie moje szczęście. Kiedy się wreszcie zjawia na horyzoncie atrakcyjna kobieta, musi być koniecznie tytanem cnót i pracy. Nie zmrużę oka tej nocy.

ANTONINA:

W takie piękne noce śpi się cudownie. Dobranoc.

O D S Ł O N A II.

/ Korytarz szpitalny. Agnieszka, Socha w-zburzeni /.

SOCHA: Niech pani go obudzi.

ANTONINA: A jednak jest stary człowiek i nie na wiele nam się przyda w takim wypadku. Możeby jednak jeszcze szukać doktora Zwardonia. To niemożliwe przecież, żeby nie zostawił wiadomości, gdzie jest.

SOCHA: A jakże! Ma wszystkim oznajmiać, gdzie spędza noce. Niema rady trzeba obudzić naczelnego.

ANTONINA: Czy on umie operować?

SOCHA: Za młodych lat operował, wszystko potrafił, w takiej osadzie jak tu doktor umie wszystko zrobić. Teraz to tylko każdy ma specjalność. Niech sobie przypomni, jak to bywało za młodu. Co można zrobić innego, jeżeli pani doktor operować nie chce.

ANTONINA: Na miłość boską panie Socha, ja jestem ginekolog.

SOCHA: No to co. Brzuch rozciąć pani potrafi. A czego tu więcej trzeba?

ANTONINA: Dobrze, ale to postrząż. Moja specjalność, pan przecież rozumie, jest bardzo ograniczona.

SOCHA: Jednym słowem chłopak ma zdychać?

ANTONINA: No nie. Jeżeli Zwardonia znaleźć nie można, to ja zaryzykuję. Ale muszę się jednak przed tym zobaczyć z lekarzem naczelnym. Jeszcze nie objęłam swoich funkcji oficjalnie.

SOCHA: No to prędzej, prędzej, bo to może być złe. Ja pójdę, pomogę siostrze przygotować chłopaka do operacji.

S C E N A II.

/Agnieszka stuka do drzwi doktora, stuka kilkakrotnie. Doktorowa ./

DOKTOROWA: Kto to tak stuka ? Spokoju nie ma nigdy. Nocy przespać nie dadzą. Kto pani jest.

ANTONINA: Jestem doktor Leśna. Od jutra obejmuję funkcję w szpitalu. Chciałabym się zobaczyć z panem doktorem Winiarskim.

DOKTOROWA: Oszalała pani ? Składać wizyty po nocy ?

ANTONINA: To nie wizyta. Nagły wypadek. Przywieziono ранego parobka ze wsi. Postrzał w brzuch.

DOKTOROWA: Więc dlaczego pani z tym przychodzi, jeżeli jeszcze pani nie objęła swoich funkcji ?

ANTONINA: Doktor Zwardoń jest nieobecny. Nie można go znaleźć.

DOKTOROWA: Mój mąż nie operuje.

ANTONINA: Muszę się natychmiast zobaczyć z panem doktorem.

DOKTOROWA: U nas się zwykle mówić - z panem dyrektorem. Mój mąż ...

ANTONINA: Niech pani nie zawraca głowy. Proszę natychmiast obudzić męża. Muszę go widzieć w tej chwili.

DOKTOROWA: Co takiego ? Pani ośmiela się dawać mi rozkazy ? Pani jest podwładną mego męża !...

ANTONINA: / Odsuwa ją ze zniecierpliwieniem ręką i chce wbiec do mieszkania doktora Winiarskiego. W drzwiach wpada na nią dr. Winiarski w Szlafroku ./

S C E N A III.

WINIARSKI: Co się tu dzieje ? Kto pani jest ? Osoby z poza szpitala nie mają tu prawa wstępu.

ANTONINA: Jestem doktor Leśna. Sprawa jest nagła. Przywieźli ранego.

WINIARSKI: Tu ciągle kogoś przywożą. Przede wszystkim nie mam przyjemności pani znać i nie wiem kto pani dał prawo, jeszcze przed objęciem

c.d.

oficjalnych funkcji rządzić się w szpitalu.

ANTONINA:

Panie doktorze, postrzał w brzuch, niepodobna znaleźć chirurga. Będę próbowała operować. Proszę, aby pan był łaskaw dać narkozę.

WINIARSKI:

Oo takiego? Jeżeli się nie mylę, pani wydaje mi rozkazy, pani zaczyna tu się rządzić. Tego się właśnie obawiałem. Przysyłają niewiadomo kogo i taki ktoś myśli, że jak przyjeżdża z Warszawy, to może dyktować nam prowincjuszom.

ANTONINA:

Nie chcę nic dyktować. Źle się wyraziłam. Będę najszczęśliwsza, jeżeli pan kolega, pan dyrektor chociażam powiedzieć, zechce sam operować. Ale powiedziano mi, że pan nie jest chirurgiem.

WINIARSKI:

Gdyby się pani była łaskawa zameldować u mnie w dzień, a nie w nocy - widocznie taka jest moda w Warszawie - wiedziałabyś sama pani kim jestem i że dokonywałem operacji, którychby się nie powstydzili klinika uniwersytecka.

ANTONINA:

Głównie, więc doktor będzie operował, a ja będę asystowała.

WINIARSKI:

Wolałaby pani zrzuścić odpowiedzialność na mnie? Nie, moja pani. Mamy tu wybranego chirurga i operować będzie chirurg.

ANTONINA:

Ale właśnie chirurga nie podobna znaleźć.

WINIARSKI:

Więc poczekamy do rana.

ANTONINA:

Ozekać nie można.

WINIARSKI:

Parę godzin zwłoki nie może grać zasadniczej roli.

ANTONINA:

Przy ranie brzucha - tak.

WINIARSKI:

Doskonale, doskonale. Widzę, że już pani wszystko zdecydowała, że czuje się pani jak u siebie. Zdaje się, że ja tu jestem niepotrzebny. Może wogóle przyjechała pani z moją dymisją, proszę mówić jasno.

ANTONINA:

/ z rozpaczą /

Panie doktorze, po co te wszystkie niepotrzebne, krzywdzące słowa. Tam umrze człowiek, jesteśmy lekarzami, musimy mu pomóc.

c.d.

Niech pan robi, co pan uważa, ale operować trzeba natychmiast.

WINIARSKI:

Przepraszam, jaka jest pani specjalność ?

ANTONINA:

Wie pan dobrze - ginekolog .

WINIARSKI:

A to jak skyszałem jest mężczyzna. O ile wiem, mężczyźni nie chorują na kobiece choroby.

ANTONINA:

Laparotomię mogę przecież zrobić. Może kule nie tkwi zbyt głęboko. Ale kto mi będzie asystował.

WINIARSKI:

Nie ja .

ANTONINA:

Ale pan chciał przecie operować.

WINIARSKI:

Tego nie powiedziałem. Niech się każdy trzyma swojej specjalności. Mamy chorurę, niech operuje chirurg.

ANTONINA:

I znów zaczynamy od początku. Dość już tego. Tracimy tylko czas.

S C E N A IV.

/ Winiarski - Antonina - Socha /

SOCHA:

Wszystko przygotowane.

WINIARSKI:

No naturalnie i ten tutaj. Co się dzieje ?

SOCHA:

Chory czeka na sali operacyjnej.

WINIARSKI:

Kto się ośmielił kłagać bez tam bez mojego pozwolenia ?

SOCHA:

Ja.

WINIARSKI:

Panie Socha, pan myśli, że jeżeli pan jest partyjny, to już panu wszystko wolno ? Póki ja tu jestem gospodarzem, póki ja tu rządę...

SOCHA:

Dobrze, dobrze, ale chory czeka, Rana nie jest zła, może się da co zrobić.

WINIARSKI:

Gdzie jest doktor Zwardoń ?

SOCHA:

Pewnie u jakiej kobitki. Adresu nie zostawił, wiadomo. Narzędzia przygotowane, kto operuje, nasz dyrektor, czy pani doktor ?

WINIARSKI: Nikt, panie Socha, nikt. -- na pana się poskarżę przed K.. Już dwoje jest ich do rządu. To najpierw mnie posłajcie na grzybki. Ze mną się tu nikt nie liczy.

ANTONINA: Gdybym się z panem nie kłóczyła, to po co bym budziła pana po nocy. Właśnie nie chciałam samowolnie. / Z rozpaczą /
No i ktoś przecie musi dawać narkozę.

SOCHA: To ja mogę. Już parę razy w nagłych wypadkach. Niech się pani doktor nie boi., potrafię.

WINIARSKI: To wszystko jest wbrew przepisom. Państwo oboje gorzko tego pożałujecie.

SOCHA: Za to chory będzie rad, jeżeli wyzdrowieje. No, pani doktor idziemy.

ANTONINA: / z wahaniem /
Straszna odpowiedzialność.

SOCHA: Oo już się teraz pani waha. A ja właśnie dlatego jak w dym do pani, że od razu pomyślałam: w tym narwanym miejscu to tylko z panią się dogadam. Tylko postarzeli panią i już się pani cofa. Zlekka się pani.

ANTONINA: To nie to. Tylko jeżeli źle pójdzie.

WINIARSKI: To już się pani nie wygrzebie z tego. Rodzina może panią oskarżyć przed sądem. -- i słusznie -- że łapie się pani nie za swoje rzeczy. Z mojej strony niech pani nie liczy na żadną obronę. Jestem stanowczo przeciwny nie tylko pani wysoce nie właściwemu postępowaniu, ale porzuceniu się lekarza na rzeczy nie leżące w jego kompetencji.

SOCHA: Idziemy, pani doktor.

ANTONINA: Dobrze, ale najpierw muszę się zapytać rodziny o zgodę.

SOCHA: Nie ma tam żadnej rodziny. To parobek od tego bogatego chłopa, Marchwiaka. Podrzutek. Jego los nikogo nie obchodzi. Gospodarz przyiożł go tutaj i cisnął jak psa. Zaraz odjechał.

WINIARSKI: Żadny to musi być ptaszek. Pewnie się porzucił po pijanemu z innym parobkiem.

SOCHA:

Nie to coś ważniejszego. Postrzał. Obrachunek polityczny. Idziemy, pani doktor.

WINIARSKI:

Nad tą panią nie mam jeszcze władzy, nie przyjąłem jej jeszcze oficjalnie do szpitala, ale panu, panie Socha zabraniam zajmować się leczeniem, do którego nie ma pan kwalifikacji.

SOCHA:

Nilogo ie będę leczył. Pomogę przy operacji.

ANTONINA:

Ale kto da narkozę ?

WINIARSKI:

Ja nie. Ja jestem temu wszystkiemu przeciwny.

SOCHA:

Ja dam,

WINIARSKI:

Zabraniam.

SOCHA:

Mało to razy dawałem, jak doktor Borzęcki był pijany, albo jak pan pojechał wtedy na imieniny. Wtedy to pan dyrektor nie zabraniał. Potrafię. Idziemy, pani doktor.

ANTONINA:

Idziemy.

WINIARSKI:

Nie wydałem dodać zezwolenia na tę operację. Pani dotąd tu jeszcze oficjalnie nie pracuje. Nie zezwalam też panu Sosze na udawanie lekarza. Po raz ostatni uprzedzam że państwo poniesiecie konsekwencje swoich postępów.

ANTONINA:

Nie mogę przyjąć do wiadomości pańskich zakazów, ponieważ chodzi o życie ludzkie. Czy bierze pan na swoją odpowiedzialność to życie? Czy jeżeli chory zemrze do rana będzie pan uważał, że jest pan w porządku ?

WINIARSKI:

To moja sprawa.

ANTONINA:

A ja choćbym się miała narazić i panu i wszystkim władzom na świecie, zrobię co tylko będzie w mojej mocy, żeby ratować chorego. Idziemy, panie Socha.

WINIARSKI:

No więc dobrze. Idę z wami. Ale oświadczam, że działam pod przymusem i nie biorę odpowiedzialności za to co zajdzie. Coś podobnego : Coś podobnego !

/ Antonina i Socha wychodzą. Dr. Winiarski trzęsącymi się rękoma kładzie fartuch./

S C E N A V.

/ Winiarski - Doktorowa /

DOKTOROWA: Nie odzywałam się, bo nie lubię się mieszać do twoich spraw, ale żeś ty mógł jej pozwolić na coś podobnego.

WINIARSKI: Przestań już gadać. Działasz mi na nerwy. Teraz ty chcesz znów mną rządzić.
/ unosi się /
Że w szpitalu nie nie znaczę, wiadomo, bezpartyjny, ale widzę że i w domu się ze mną nie liczą. Ty mi będziesz dyktowała, co mam robić ?

DOKTOROWA: Ale proszę cię, Wacusiu, uspokój się.

WINIARSKI: Teraz znowu mam się uspokoić. Nikt się ze mną nie liczy. Każdy chce mną kierować, jak dzieckiem. Ja tego nie mogę tolerować. Ja się zwróć do kogo należy.

DOKTOROWA: Ależ Wacusiu, nie unos się. Przyjdzie doktor Zwardon, to się z nim naradzisz, co robić.

WINIARSKI: Doktor Zwardon ! To jego вина ! To wszystko co tu zaszło ! Jak on śmiał się oddalać nie pozostawiając adresu. Przecież zawsze może być nagły wypadek.

DOKTOROWA: Dotychczas zawsze czekało się do rana.

WINIARSKI: Tak, i ilu ludzi umierało. Zwardonia вина, no niech ja go tylko w swoje ręce dostanę ! Ona nie ośmieliłaby się wziąć tu takiego tanu, gdyby nie to, że Zwardonia nie na. Ja mu pokażę ! Całe to piękne towarzystwo rozpędze na cztery wiatry ! Skandal, co tu się dzieje w tym szpitalu ! Ja się już za to wszystko wezmę. Wszak ma tyle tej roboty biurowej, a tu mu tymczasem ludzie różne podłości robią !

S C E N A VI.

/ Winiarski - doktorowa - Marcysia /

WINIARSKI: A ty czego się tu petasz. Spokoju mieć nie można przez chwilę.

MARCYSIA: Słyszałam, że chorego przywieźli. Może mnie tam potrzebują.

WINIARSKI:

Ważna mi osoba. Bez niej się nie nie obejdzie. Może i tobie nie chce się mnie słuchać. Ruszaj, skądś przyszła.

MARCYSIA:

Ale może trza będzie przy chorym posiedzieć.

WINIARSKI:

A siostra od czego. Zresztą idź, jeszcze tobą sobie będę głowę zwracać.

DOCTOROWA:

Tacis, chodź już spać. Co będziesz siedział. Niech ta warijotka robi co chce. Nawet lepiej, żebyś o tym nie nie wiedział. Po co masz ponosić odpowiedzialność.

WINIARSKI:

Zawsze odpowiedzialność i odpowiedzialność. Za wszystkich i za wszystko. Dosyć nam tego, dosyć. / wychodzi /

S C E N A VII.

/ Wera - Marcysia /

WERA:

I czego mnie budzisz, czego ? Dzisiaj nie mój dyżur.

MARCYSIA:

Oiężko ранного przywieźli. Operują. Siostra asystuje, A to piąte kółko już kona. To ja nie mogę być sama na sali.

WERA:

Kto daje narkozę ?

MARCYSIA:

Socha miał dawać. Ale teraz dyrektor poszedł.

WERA:

Socha ? To tej nowcy nie można było wezwać. Niechby zobaczyła, jak u nas się pracuje.

MARCYSIA:

Ta nowa doktorka operację robi.

WERA:

Co takiego. Nie Zwardon ?

MARCYSIA:

A gdzie go tam szukać.

WERA:

Nie na g ? adresu nie zostawił ?

MARCYSIA:

Ni.

WERA:

Znowu !

MARCYSIA:

Niech siostra iść na salę.

WERA:

Daj mi spokój. Oszaleć można. To napowno umyślnie ulnute. Ta nowa chce wygrzeć Zwardonia. Chce żeby sobie pojochał, a

c.d. ona tu zostanie całą doktorową. Starogo osiodła i będzie się rządzić. A bo ona chirurg żeby operować ?

MARCYSIA: Ja tam wiem .

WERA: Ale ja wiem. To ona jakoś tak podstępnie zroiła, żeby doktora Zwardonia oddalić i pokazać że jak ważny wypadek, to jego tu nie ma. A ja ją jeszcze proszę, żeby mu pomogła dyrektorem zostać. Dobry numer, nie ma co .

MARCYSIA: Co siostra wygaduje. Mało to razy doktor na noc nie wracał. Nie pamięta siostra, jak to dziecko przywieźli na ślepą kieszkę i umarło zanim wrócił. Abo to raz.

WERA: Tak, ale nikt się na jego miejsce nie podstawiał, nikt nie chciał się pokazać lepszym niż on. Żeby go wygryźć. Nawet naczelny nigdy mu w drogę nie wchodził. Może tylko Borzęcki, zanim się nie rozchorował.

MARCYSIA: A dziecko bez to umierać musiało.

WERA: No umarło. Mało to chorych umiera. To nie znaczy, że ludziom świątwa trzeba robić.

S C E N A VIII.

/ Wera - Marcysia - Antonina - Socha /
/ Winiarski wściekły wbiega do swojego mieszkania /

WERA: Operacja skończona. Widzę, że pani doktor zastępuje doktora Zwardonia. Tylko co on na to powie ?

ANTONINA: Siostra będzie kaskawa nie robić mi uwag. I proszę iść do chorego .

WERA: Ja nie jestem dzisiaj dyżurną.

ANTONINA: To proszę iść do siebie. Siostra nie jest nam tu potrzebna.

SOCHA: Pani doktor pozwoli, żeby Marcysia posiedziała przy tym naszym chorym ? Będę spokojniejszy .

ANTONINA: Oczywiście, proszę bardzo .

TERA:

Ach więc zwykłą posługaczkę daje się do chorego, a mnie odsyła na górę?

ANTONINA:

Siostra przecież nie ma dyżuru. Marcysia będzie przy chorym siedziąca dobrowolnie.

MARCYSIA:

Tak, pani doktor.

ANTONINA:

Podobno doskonała z niej pielęgniarka. A siostra będzie jutro bardzo potrzebna, więc lepiej się teraz położyć.

S O C H A I X .

/ Antonina - Socha. Siadają zmęczeni /

ANTONINA:

No, dobrze się zaczyna mój tutaj pobyt.

SOCHA:

A dobrze. Kula siedziąca płytko, Może się z tego wylize.

ANTONINA:

No tak, gdybym musiała wszystkie listki wyciągać, byłoby gorzej, aż mnie dreszcz przechodzi.

SOCHA:

Wtedy i tak nie dałoby się go odratować. Ale co zrobione, to zrobione.

ANTONINA:

No to jeszcze nie koniec. Teraz się może zacząć perytonit. To znaaczy zapalenie otrzewnej.

SOCHA:

Pani myśli, że ja nie wiem co to jest perytonit.?

ANTONINA:

Ja wiem, że pan dużo wie. Ma pan spokój i orientację, któreby mogły z pana zrobić pierwszorzędnego lekarza.

SOCHA:

A pani doktor ma pewność ręki i prędkość roboty nie gorszą od doktora Zwardonia.

ANTONINA:

Tak tu sobie świadczymy, a co będzie jutro?

SOCHA:

Niby z czym?

ANTONINA:

Doktor Miniarski tak tego chyba nie zostawi. Przekroczyliśmy nasze uprawnienia.

SOCHA:

Jak przepisy są głupie, to się je przekracza.

ANTONINA:

To raczej nie przepisy są głupie, tylko on je niewłaściwie stosuje. Pierwszym przepisem dla lekarza powinno być ratowanie człowieka.

SOCHA: Ma się wiedzieć i dlatego nie ~~nam~~ ~~nie~~ będzie.

ANTONINA: Jeżeli chory nie umrze. Bo jeżeli umrze, to my będziemy winni.

SOCHA: To wtedy trzeba będzie całą sprawę wyjaśnić po linii partyjnej.

ANTONINA: Czyż to partję co obchodzi ?

SOCHA: Partję wszystko obchodzi.

ANTONINA: Ja jestem bezpartyjna, mnie partja nie nie pomoże.

SOCHA: To jeszcze będziem widzieć.

ANTONINA: Jak się Winarski uprze żeby mi szkodzić, a dziwnie mi się wydaje uparty - to mogę łatwo trafić przed sąd.

SOCHA: Tak źle być nie może.

ANTONINA: I pomyśleć tylko, że ja tu przyjechałam po to, aby zaznać trochę spokoju.
/ Milczenie /

SOCHA: No, no, niech się pani doktor nie rozkleja. Kto to widział martwić się zawczasu. Za to jeżeli będzie dobrze, to pani doktor górą.

ANTONINA: Pan dobrze wie, panie Socha, że rany brzucha to bardzo ciężka rzecz.

SOCHA: No ale gdyby go tak do rana z tą kulką zostawić, to byłoby po nim. I nad czym tu lamentować ? Co trzeba było zrobić... to się zrobiło, a dalej to już będzie jak ma być. Pani doktor, pani jest dzielna kbbita, jeszcze tu żaden lekarz tak nie gadał z dyrektorem, wszyscy wolą go się słuchać dla świętego spokoju. Co pani tak skapotała. Jak człowiek ma rację, to musi być pewny siebie, choćby miał cały świat przeciwko sobie. No nie ?

ANTONINA: / uśmiecha się skabo /
No tak, Pewnie. A co z panem będzie, panie Socha, jakie pan będzie miał nieprzyjemności ?

SOCHA: Ja się nieprzyjemności nie boję. To nieprzyjemności powinien mieć doktor Zwardoń. bo póki nie mamy drugiego chirurga, nie

c.d.

może odchodzić bez pozostawienia adresu. I nieprzyjemności może mieć doktor Winiarski, że szpital idzie jak sam chce, a on tylko krzyczeć potrafi i w swoim biurze siedzieć, a co to jest chory - zapomniał. / po chwili /
A jak jużby za dużo piekło powstało, to niech mnie wyleją. Zobaczymy jak sobie radzić beze mnie będą. No pani doktor idziemy spać.

ANTONINA:

Panie Socha, kochany, niech pan tu jeszcze troszkę ze mną posiedzi. Boję się wracać do domu. Matka zaraz się obudzi, zacznie o wszystko pytać. Nie chciałabym jej zderwować. Chcę czekać aż chory się obudzi. Jeszcze tylko troszeczkę niech pan ze mną posiedzi. Miewam takie chwile lęku. Po tym zwolnię tę pańską miłą Marcynę i posiedzę przy chorym.

SOCHA:

To będzie dobrze. Mogłbym i ja przy nim posiedzieć, ale pani będzie spokojniejsza, tak się patrząc na niego.

ANTONINA:

Możeby już pójść do niego ?

SOCHA:

Za chwilę. Jest tam dyżurna i Marcysia jeszcze pewniejsza od siostry. Ja tu pani doktor przyniosę gorącej herbaty, odpocznie pani trochę i dopiero.

ANTONINA:

To ta awantura z doktorem Winiarskim tak mnie ścieła. Zresztą wszystko razem. Ach te babskie nerwy.

SOCHA:

To przy operacji widać, czy doktor ma nerwy. Wtedy to się po pani nie dali poznać. A teraz to co kogo może obchodzić. Zaraz tu herbatki przyniosę.
/ wraca po pewnym czasie ze szklanką. /

SOCHA:

Pani doktor ...

ANTONINA:

Co !

SOCHA:

Nic, nic, wszystko dobrze, byłem u niego. A herbata już jest, Marcyska na elektryczności nastawiła. Ona bez mówienia wie co robić. Siedzi przy nim.

ANTONINA:

/ pijąc /
Bardzo na pana patrzy ta Marcysia.

SOCHA:

To i co z tego .

ANTONINA: Myśli pan o innej ?

SOCHA: / macha ręką /
A co tam o tym mówić?

ANTONINA: Przepraszam pana.

SOCHA: To nie o to . Ale durny ze mnie chłop .
i tyle.

ANTONINA: A kto z nas jest w tych rzeczach mądry.
Pewnie kocha pan nie tę, którą powinien
pan kochać. Tak często bywa. To znów
robi człowiek nie to co powinien robić.
Tak przynajmniej myśli o nas doktor Wi-
niarski. Albo sam jest człowiek ze sie-
bie niezadowolony, albo inni są z niego
niezadowoleni. Tak widać musi być.

SOCHA: W tych mikosnych sprawach to często głu-
pio wychodzi, ale tak, to pani doktor nie
ma racji. Jak się wspólnie z innymi działa,
z towarzyszami na ten przykład, to i sam
człowiek może być zadowolony i inni z nie-
go też. Pani doktor się teraz czuje sama
i zgubiona, a ja nie. Bo ja wiem że to-
warzysze mi pomogą, jak zrozumieją, że ja
miałem rację. A pani samopas chodzi, po
inteligencji.
I dlatego się pani zdaje, że cały świat
jest z jednej strony, a pani sama z dru-
giej.

ANTONINA: Panie Socha, mnie się zdaje że będziemy
przyjaciółmi.

SOCHA: Czemu nie. Tykło ja za głupi dla pani.

ANTONINA: Gdzie pan tam głupi. Już od wczoraj dru-
gi raz proponuję komuś przyjaźń. Tylko
pierwszy raz przyjęto to drwinami.

SOCHA: Ja drwiś nie będę. Ja - czemu nie.
Tylko tak myślę, że w dzień i jak chore-
mu się poprawi, to pani sobie przypomni,
że jest doktorem, a ja tylko sanitariuszem .

ANTONINA: Teraz, to pan rzeczywiście mówi głupstwa.
No, lepiej mi się zrobiło. Idę do chorego.

SOCHA: A możebym ja przy nim posiedział.

ANTONINA: Nie ma mowy. To była tylko taka chwila
słabości. Ja jestem mocna.

SOCHA:

Wiem. No to dobranoc pani doktor. Ale
jakby co, to siostrę po mnie posłać. No
nie? Jutro mam dużo roboty w ambulatorjum.
To teraz się trochę położę.

ANTONINA:

Dobranoc. I - dziękuję.

A K T II.

ODSŁONA I.

SCENA I.

/Scena przedstawia gabinet naczelnego lekarza, dr. Winiciarskiego.
Popołudniowa pora. Za biurkiem siedzi Zwardoń. Wchodzi Antonina /.

ANTONINA: Pan tu ? Gdzie to, już za biurkiem dyrektora ?

ZWARDOŃ: Jak pani widzi, koleżanko. Uprawniam się. Ale dla pani gotów jestem porzucić to zaszczytne stanowisko. Stary nie długo przyjdzie, ale tymczasem możemy sobie spokojnie pogadać. Siadźmy tu, na tych fotelach.

ANTONINA: Chętnie, byleby nie na długo. Jestem zmęczona, ciężki miałam ranek i za chwilę muszę lecieć. / siada /

ZWARDOŃ: Papierosa. Ach zawsze zapominam, że koleżanka nie pali. Nie będę pani mówił koleżanko. "Pani" brzmi intymniej. To odrobnie, że jesteśmy tacy zaorani. Nie znam większej przyjemności, niż tak siedzieć z panią i gawędzić. To jest znałbym, gdyby pani chciała.

ANTONINA: Jakto, a panby chciał, po tym co ja panu robiłam. Tak się zdaje, że pan się wyraził do kogoś.

ZWARDOŃ: Ma pani dobry wywiad. Może tak właśnie powiedziałem. Ale to już zapomniane i nie mówmy o tym więcej.

ANTONINA: Swoją drogą, nie mogę pojąć jak pan to może brać w ten sposób. Tu przecież nie o pana chodziło, więc nie mógł się pan czuć pokrzywdzony. Nie było pana, więc musiałam operować i koniec. Sprawa jasna, chyba tak ?

ZWARDOŃ: Najzupełniej. Było to naprawdę wejście w moje kompetencje, a przekroczenie własnych, ale uczyniła to pani z takim wdziękiem, że nie mogę się gniewać.

ANTONINA:

Tu nie chodzi o mój wdzięk. Miałam przecież

ZWARDON:

Moim zdaniem co prawda, chory mógł pocze-
kać do rana.

ANTONINA:

A moim zdaniem nie.

ZWARDON:

Stary mógłby rozstrzygnąć, ale czy on po-
trafić mieć zdanie w czymkolwiek? Albo
zdobyć się na decyzję. Niech pani zobaczy
co się dzieje na jego biurku. Czemu pani
siedzi z taką zaszępiłą miną. Ja się prze-
cie nie gniewam.

ANTONINA:

Ciągle mówi pan tym tonem, jakby mi pan
wspaniałomyślnie przebaczył.

ZWARDON:

A cóż mam pani dziękować?

ANTONINA:

Raczej tak. Nie mówię już o chorym, ale
wybawiłam pana z niemałego kłopotu. A gdy-
by chory umarł?

ZWARDON:

Bardzobym go żałował, ale sprawa nie nabrała-
by takiego rozgłosu. Cały szpital mówi
tylko o tym, że Zwardonia w nocy nie było,
że operowała doktor ginekolog, że taka
dzielna, że tak wspaniale, jednym słowem
została pani bohaterka.

ANTONINA:

Nie wiem kto opowiada takie bajki. To nie-
godziwe.

ZWARDON:

Droga moja, jeżeli dzięki mnie zdockała pa-
ni uszczknąć listek laurowy na swoją pięk-
ną główkę, jestem niewymownie szczęśliwy.
Wszystko co panią przyozdabia, sprawia mi
radość.

ANTONINA:

Kpi pan sobie ze mnie.

ZWARDON:

Nie pani, że nie. Moje uczucia dla pani
są bardzo złożone. Pani mi się naprawdę po-
doba. Ja takich rzeczy nigdy nie udaję. Ja
nawet wiem, co mi się właściwie w pani po-
doba, bo ostatecznie nie jest pani ani
specjalnie młoda, ani piękna. To mnie ws-
cie ka.

ANTONINA:

To już wolę, niż te gładkie komplementy.
Niech pan się złości na moje rzekome wdzię-
ki, ale nie na to że wykonałam prosto
swoją obowiązek. To nie godne pana, naprawdę

ZWARDON: Ach, pani znów o tej sprawie. Iniejsza. Mówmy o czym innym. Wie pani, a może-
byśmy dziś wieczorem popłynęli łodzią
w dół rzeki?

ANTONINA: Owszem. Nie na długo. Na jakąś godzinę.
Nie możemy oboje stąd się na dłużej od-
dalać, chyba żeby doktor Winiarski zgo-
dził się dyżurować.

ZWARDON: Te stałe dyżury lekarskie, które pani na
nim wymogła są nonsensem. Nie możemy
być niewolnikami. Trudno, to nie Warsza-
wa. Jak ufundują w mieście Pogotowie Ra-
tunkowe, to będzie stała pomoc. My nie
możemy się depresjonować i dlatego że
komuś krew poszła z nosa, być stale na
miejscu.

ANTONINA: Drogi kolego, lekarzy jest mało, ludzi jest
mało, każdy musi odrabiać podwójną i po-
trójną robotę. Miejcie o to pretensję do
Niemców, po co zabijali.

ZWARDON: To nie tylko to, to system jest taki, żeby
ludzi wyżyłować do ostatniej nitki, do
ostatniego tchu.

ANTONINA: Pan uważa że to na złość, czy też, że przy
odbudowie kraju i przy przebudowie ustroju
jest pracy dziesięć razy więcej niż przed
wojną. I ktoś ją musi zrobić, bo inaczej
utknijemy.

ZWARDON: Uwielbiam, kiedy pani wchodzi na ambonę
i każe do zbłąkanych owieczek.

ANTONINA: To nie ambona, to tylko przedszkole.
Zwaki ABC.

ZWARDON: Dobrze, dobrze, na tematy państwowotwór-
cze nie mam zamiaru z panią rozmawiać.
Obiecuję mi pani jazdę łódką.

ANTONINA: Wie pan co, pomówimy o tym jeszcze raz
wieczorem, po pracy. Teraz mam tyle spraw
na głowie, że nie potrafię o niczym innym
myśleć.

ZWARDON: Dobrze, dobrze, nie wiem czemu przed chwi-
lę wydała mi się pani pociągająca. Okazało
się, że to nie kobieta, tylko zwykły robot.

ANTONINA: Słusznie. I każdym razem w godzinach ro-
boczych. Ile spraw do omówienia! Przy-
chodnia przeciwgruźlica. Poradnia dla
matki ciężarnej i dziecka - to mi specjal-

c.d.

nie leży na sercu. Gdzie się nasz dyrektor zawieruszył?

ZWARDON:

Panią to wszystko interesuje, a mnie znów przydałaby się lampa bezcieniowa i nie robić alarmu.

ANTONINA:

To niech pan robi alarm. Ileż tu jeszcze rzeczy trzeba zrobić. Szpital jest trochę jak z czasów króla Cwieczka. Trzeba tu masę pozmieniać.

ZWARDON:

Bardzo będzie panią za to kochał nasz stary... Ten to już przepada za wszystkimi zmianami! Ja co prawda też nie czuję w sobie reformatorskiego ducha.

ANTONINA:

Czekówieku, pan jest przecież partyjny.

ZWARDON:

No powiedzmy, mogę się jeszcze ^{więcej} ~~coś~~ ^w wielkie zmiany rewolucyjne, w konieczność przebudowy społecznej, skoro nasze czasy tego wymagają. Ale tu zawracać sobie głowę użeraniem się o drobiazgi?

ANTONINA:

Wydaje mi się, że rewolucję trzeba robić wszędzie, na każdym najmniejszym odcinku. Nie ma rzeczy nieważnych.

ZWARDON:

Być może. Ale ja się nie nadaję na prowincjonalnego działacza. Mnie interesuje chirurgia już to pani mówię.

ANTONINA:

Doskonale, ale kiedy przyjdzie dyrektor, jak się panu zdaje?

ZWARDON:

Pójdę go poszukać. A wieczorem zajdę po panią. Jeszcze nie jechała pani kocznią w dół rzeki.

SCENA II.

/ Antonina - Socha /

SOCHA:

Widziała się już pani z dyrektorem?

ANTONINA:

Nie jeszcze. Czekam jak głupia, siedzę jak na szpilkach.

SOCHA:

Czy pani nie zapomni o tej świetlicy?

ANTONINA:

No widzi pan, panie Antoni, o tym właśnie bykaby zapomniela. Zresztą, wie pan, tak się zastanawiam, czy to ja powinien

o.d. z nim o tym mówić. Wszystko co powiem, działa na niego jak czerwona płachta na byka.

SOCHA: Co to panią obchodzi? Będziemy tu mieli wizytę sekretarza komitetu wojewódzkiego. Ale przecież kadniejby było gdyby inicjatywa wyszła właśnie od nas. Przed pani przyjazdem poruszaliśmy te sprawy, ale czy tu kogo to obchodziło? Może z panią więcej się będzie liczył.

ANTONINA: To niedońrze, panie Antoni, że pan tak mówi. Szpital leży panu na sercu tak samo jak mnie. Oboje z dyrektorem na ten temat pomówimy.

SOCHA: To już całkiem nic z tego nie wyjdzie. Zresztą może z tą świetlicą jeszcze poczekać. Najpierw niech pani pogada o doktor-
skich sprawach. Zobaczymy jak to przejdzie, po tym się namyślimy. Ale pani rozumie rozumie co to znaczyłoby świetlica dla chorych, książkęby dostali, radio, dla zdrowszych jakiś wykład. Mało tu chłopeów przyjeżdża, to dla nich z racji choroby cały nowy światby się odkrył.

ANTONINA: Spróbuję. Ale on nie przychodzi, a ja mam jeszcze wizytę na mieście. Pójdę chyba. Po powrocie spróbuję go łapać.

SCENA III.

/ dr. Winiarski - Zwardoń /

WINIARSKI: Strach, ile czasu zajął mi ten magistrat. Ale jestem zadowolony, naprawdę zadowolony. Komplementowało mnie, że wspaniały porządek w szpitalu, wszystkie wykazy, wszystkie rachunki, aż satysfakcja. No, przyjemnie przynajmniejszyść uznanie dla własnej pracy, bo tak toby wszystko obrzydło.

ZWARDOŃ: Pan, panie dyrektorze, jest naprawdę fenomenalny. Przy tylu trudnościach, w najcięższych warunkach zawsze na posterunku, zawsze wszędzie pierwszy, to nie bagatela i

WINIARSKI: Co też pan mówi. Wielkie jeszcze mamy braki, wielkie. Ale też i osiągnięcia nie małe. To musimy sobie przyznać.

ZWARDON:

Ja mam dla pana prawdziwy podziw. Do ostatecznie ja ograniczam się do mojego fachu. Oprawda wykonywać go może nie najgorzej.

WINIARSKI:

Co też pan! Pan jest naszą gwiazdą. Warszawa byłaby z pana dumna. O, my pana stąd nie puścimy.

ZWARDON:

Mnie się ani śni stąd uciekać. Mnie jest tu naprawdę dobrze. Z takim zwierzchniostem jak pan dyrektor naprawdę pięknie się pracuje. I pomyśleć, że pan prócz swojej interny ma jeszcze tyle prac administracyjnych i tak pan z tego zwycięsko wychodzi.

WINIARSKI:

Nortak, nienajgorzej. Ale jeżeli o pana chodzi, to czasem tak sobie myślę, czy pan się tu nie marnuje w tej dżurdzie. Bo ja jużbym się nie nadawał do dużego miasta. Ja panu powiem, że mnie chorzy męczą. Denerwują się jakoś, jak mi choroba robi kawały czasem nie mogę się zdobyć na decyzję... Tyczerpanie nerwowe, czy co. Tak szczerze mówiąc, najlepiej się czuję u siebie w gabinecie. Nie wiem czy już nie czas na emeryturę.

ZWARDON:

Co też dyrektor. Przecież z pana młody człowiek. Ale nikt pan nigdy nikomu nie mówi takich rzeczy, jak mnie. Mogłoby się zdarzyć ktoś, co podchwyciłby i chciał wykorzystać. Widzi pan, ja mówiłem że mi tu dobrze. Żadnych zawiści, żadnych intryg. Właściwie powinienbym powiedzieć, że tak było do niedawna. Teraz nie byłbym pewien czy sytuacja nie uległa pewnej zmianie.

WINIARSKI:

Jakto? Co pan ma na myśli? Ja?

ZWARDON:

Proszę mnie. Żle nie rozumiem. Ja właściwie nie mam jeszcze zdania...

WINIARSKI:

Zato ja mam, całkowicie wyrobione. Czy pan sobie wyobraża coś podobnego? Nowy człowiek, przyjezdny, nie znający miejscowych stosunków, nie przyjęty jeszcze oficjalnie do pracy, pozwala sobie szarogasić się bezapelacyjnie, zmusić mnie, dyrektora szpitala do asystowania sobie przy operacji, dokonanej właściwie wbrew mej woli...

ZWARDON:

No tak, to nie było w porządku.

WINIARSKI: Tego wieczoru nigdy nie zapomnę. Pana nie było panie kolego, to pan tego nie może po prostu wyobrazić. Nie mogę sobie darować że po prostu nie wyrzuciłem jej za drzwi. Moim zdaniem, chory mógł czekać do rana. Wy jesteście tego samego zdania, prawda?

ZWARDON: Mnie ten chory nie obchodzi. To jest jej chory.

WINIARSKI: Nie wiem czy to stanowisko jest słuszne, ale nie będę się z wami sprzeczać. Jej szczęście, że chory przetrzymał.

ZWARDON: Powiedzmy sobie że sprawa była odosobniona i że ja też nie byłem bez winy...

WINIARSKI: Zapewne, zapewne, ale wy kolego nie macie tego wstrętnego zwyczaju wtrącania się do wszystkiego, występowania z coraz to nowymi szaleńczymi pomysłami, nie dawania ludziom ani chwili spokoju.

ZWARDON: Zabarzo pochłania mnie własna praca, abym miał ochotę wtrącać się do czegośkolwiek. A przy tym ja poprzestaję na swoim, nie mam jakichś ambicji awansu, dopchania się, powiedzmy „do kierownictwa szpitala.

WINIARSKI: Jakto, to myślicie, że ona?...

ZWARDON: Ja nie nie myślę. Tak po prostu powiedziałem.

WINIARSKI: No nie, powiedzieliście albo za dużo, albo za mało. Więc myślicie, że ona chce mnie wygryźć z dyrektorstwa?

ZWARDON: Kobiety są teraz ambitne. Ale żeby doktor Łośna... Nie sądzę. Zresztą, nie wiem.

WINIARSKI: Nieco, że to możliwe. Tak, w tym świetle wszystko inaczej mi się przedstawia. Właściwie skąd ta gorliwość do operowania cudzego chorego? Chciała narzucić się od razu, zaiponować. I te projekty. Naturalnie, chciała włazać, że nasz szpital nie jest na poziomie, że ona dopiero może go przeorganizować należycie...

ZWARDON: No, nie bądźmy zbyt pochopni. Może to tylko nadmiar energii kobiety niewykochannej należycie. Ale istotnie ta energia bywa czasami niepokojąca.

WINIARSKI: Tak, to jasne. I uważacie kolego, jak ona się sprzymierzyła z tym Sochą?

ZWARDON:

Socha jest moim towarzyszem partyjnym, panie dyrektorze.

WINIARSKI:

Niech pan nie zawraca głowy. On jest pana towarzyszem, ale pan nie jest dla niego towarzyszem. Socha to nie tylko człowiek partyjny, to zwyczajny bolszewik.

ZWARDON:

Dyrektorze, dyrektorze, to nie są bynajmniej różne pojęcia.

WINIARSKI:

Dla mnie tak. Pan na przykład jest partyjny, a co za różnica. A ten Socha. Nie przeczę, dzielny człowiek, z głową na karku i cały szpital ma w pięciu palcach. Powiem nawet szczerze, że gdyby miał wykształcenie, to naprawdę bym go się bał. Ten to po prawdzie mógłby mnie stąd wygryźć. Jeżeli on ze szkołą powszechną tyle umie, tak się orientuje. Zdolna bestia. Ale bolszewik! Właściwie ja go się i tak trochę boję. Djabli go tam wiedzą co on za jeden.

ZWARDON:

Bo ten dyrektor zgrabnie robi z niego swoją prawą rękę, daje mu wgląd we wszystko. On się naprawdę zaczyna tu panoszyć.

WINIARSKI:

A pan niby sam nie powierza mu skomplikowanych opatrunków a nawet poważnych zabiegów i to często lekarskich?

ZWARDON:

Nie mogę przecie podobać wszystkiemu.

WINIARSKI:

A ja to niby mogę? Fakt jest że to zdolna bestia. Lekarz byłby z niego że to ha! On naprawdę jakiegoś diagnostycznego nosa.

ZWARDON:

I w rezultacie kiedy pan dyrektor nie może się zdobyć na jakąś decyzję pobiera ją Socha.

WINIARSKI:

Przesada, kolego, przesada. Ale swoją drogą daj mi kolega do myślenia.

ZWARDON:

Pan dyrektor jest niezwykle utalentowanym lekarzem i znakomitym organizatorem, ale czasami grzeszy pan nadmiarem katowierności. Po prostu daje się pan omotać. To niebezpieczne.

WINIARSKI:

Drogi panie, człowiek jest tak samotny. Wszędzie wrogowie. Gdzie ja mam przyjaciela? Chyba w panu.

ZWARDON: Na moje oddanie może pan dyrektor liczyć. Ja jestem fanatykiem chirurgii i nikomu w drogę nie lubię wchodzić. Może byłem zbyt pochopny w sądach, i z pewnością niesprawiedliwy, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

WINIARSKI: Jestem wam szczerze wdzięczny, naprawdę. To po prostu ulga tak sobie szczerze pogadać. Zaraz, ktoś puka.

ZWARDON: Nasza uroczą koleżankę. To ja już uciekam.

SCENA IV.

/ Winiarski - Antonina /

ANTONINA: Czy pan dyrektor znajdzie dla mnie chwilę czasu ?

WINIARSKI: O sucho /
Chwilkę może, ale niezbyt długo.

ANTONINA: Żle powiedziała - chwilę. Nasza rozmowa może się przeciągnąć.

WINIARSKI: W takim razie nie będę miał czasu.

ANTONINA: Może wobec tego przyjdę później ?

WINIARSKI: To nie zmieni postaci rzeczy. Jestem bardzo zajęty. O co pani chodzi ?

ANTONINA: Panie dyrektorze, ja nie potrafię tego w paru słowach...
Jakoś zawsze unika pan rozmowy ze mną.
A tyle jest do omówienia.

WINIARSKI: Ja tego nie widzę.

ANTONINA: Więc niech pan dyrektor pozwoli, że mu to przedstawię.

WINIARSKI: Niech się pani streszcza.

ANTONINA: Nie mogę, panie dyrektorze. Jeżeli się pracuje razem, to trzeba czasem obszerniej omówić pewne sprawy. Gdybym mogła wypowiedzieć swoją myśl, to uważałabym nawet, że pewne rzeczy powinniśmy omawiać wspólnie i pan dyrektor, i ja, i doktor Zwardon, i pan Socha i siostry...

WINIARSKI: Innymi słowy soviet.

- ANTONINA: Coś w tym guście.
- WINIARSKI: Skyszałem że pani jest bezpartyjna.
- ANTONINA: Więc coś z tego? To mi nie przeszkadza uważać, że kolektyw więcej może zdziałać niż poszczególni ludzie i że kolektywna praca daje lepsze rezultaty.
- WINIARSKI: Czy pani towarzysze Socha tak wytłumaczył?
- ANTONINA: Socha myśli tak jak ja, ale wytłumaczył mi to kto inny.
- WINIARSKI: Droga pani, ja już jestem za stary na te nowalijki. Jestem dyrektorem szpitala i ponoszę za niego odpowiedzialność, czy się to pani i towarzyszowi Sosze podoba czy nie.
- ANTONINA: Chciałabym wobec tego przejść do konkretnych spraw.
- WINIARSKI: Proszę.
- ANTONINA: Zanim zacznę mówić... Panie dyrektorze, dlaczego pan tak do mnie wrogo i niechętnie mówi? Co ja takiego zrobiłam?
- WINIARSKI: Ja radabym z panem dyrektorem współpracować jaknajbardziej lojalnie. Jeżeli mi wolno użyć tego słowa: przyjacielsko. Mamy oboje mamy tu wszyscy bardzo wiele do zrobienia i moglibyśmy pracować lepiej w atmosferze wzajemnego zaufania i solidarności.
- ANTONINA: Bardzo piękne słowa. Ale na zaufanie trzeba sobie zasłużyć. Ja bywałam aż nazbyt katowowierny, ale obawiam się, że pani moją katowowierność przecenia.
- WINIARSKI: Nie rozumiem pana. Widocznie nie rozumie też pan mnie. Coż robić. Nie wiem jak mówić, aby rozbić mur pańskiej nufności. Przejdźmy więc do rzeczy konkretnych / pauza /
- ANTONINA: Mówił pan dyrektor, że nie mamy pomieszczenia na przychodnię dla matek i dzieci, że brak na to miejsca w szpitalu...
- WINIARSKI: Może więc pani rozkaże aby rozstąpiły się ściany?
- ANTONINA: Nie, ale proponuję, aby poszła na to część mego mieszkania. Nie potrzeba mi pięciu pokoi. Dwa mogą pójść na przychodnię.

WINIARSKI: To jest zwykła demagogia. Pani lubi efektowne gesty. Jeżeli bym to zaakceptował, to nazajutrz władze powiatowe zabiorą się do mieszkania reszty personelu.

ANTONINA: Ale taka przychodnia jest rzeczą konieczną. Zresztą urząd zdrowia przysłał nam w tej mierze dokładne instrukcje.

WINIARSKI: To niech nam da możność ich wypełnienia. Przy tym nie mamy pediatry.

ANTONINA: Jeżeli chodzi o niemowlęta, to ja przecie mogę...

WINIARSKI: Pani wszystko może, To wiadomo. Tylko jak to inna sprawa.

ANTONINA: Jak potrafię. Ale póki nie ma kogoś lepszego ode mnie...

WINIARSKI: Powiedziała już swoją decyzję. Pani będzie łaskawa przejść do sprawy następnej.

ANTONINA: Drugą rzeczą byłaby ta poradnia przeciwgruźlicza...

WINIARSKI: To już są moje internistyczne sprawy. Byłbym wdzięczny, gdyby pani zechciała się do nich nie wtrącać.

ANTONINA: Oczywiście. Tylko miałam pewien projekt, który może nie byłby pozbawiony sensu.

WINIARSKI: Z całą pewnością. Tylko mnie on nie interesuje.

ANTONINA: Jak pan może tak mówić, nie znając go ?

WINIARSKI: Proszę pani, niech mnie pani nie zmusza do mówienia rzeczy przykrych. Pani bezustannie przecina swoje uprawnienia. Pani się wtrąca do nie swoich spraw. Pani wyszukuje na terenie szpitala i szuka bezustannie dziury w całym. Pani spiskuje po kątach z niższym personelem. Z wyjątkiem siostry Wery, która jest bardziej odporna, wszyscy biorą się na lep pani demagogicznych sztuczek.

ANTONINA: / wstając /
Nie będę tego słuchać dłużej. Pan nie ma prawa tak mówić do mnie.

WINIARSKI: Pani mierzy na moje stanowisko. Pani chce zostać dyrektorem szpitala, to jasno.

ANTONINA:

Jak pan śmie!... Jak pan śmie!...
Dziś jeszcze stąd odjeżdżam. Dziś jeszcze!
Od początku wrogość i insynuacje. Teraz
przynajmniej prosto w oczy. Dobrze.
Żegnaj pana.

WINIARSKI:

Żegnam, żegnam. / cicho /
Krzyżyl na drogę.

ANTONINA:

/ podbiega wzburzona do drzwi, przystaje,
waha się, wraca i z całą energią siada z
powrotem na krzesło /
Nie, Nie będę panu ułatwiała sytuacji.
To wszystko nie ma najmniejszego sensu.
Przyjechałam tu żeby pracować i zostać.
Chyba że dostanę dyplom podpisany przez
pana. Zostałam tu skierowana przez Mini-
sterstwo Zdrowia, które widocznie uznało,
że jestem tu potrzebna. Muszę tu pracować
i dla pańskich widzimisię nie myślę z
własnej woli ustępować. Musimy raz poroz-
mawiać po ludzku. Kto panu nagażał tych
głupst że chce tu zostać dyrektorem?

WINIARSKI:

Unosi się pani, robi awantury, a teraz
rozpoczyna jakieś śledztwo.

ANTONINA:

Kto panu naopowiadał tych głupstw?

WINIARSKI:

Kto miał mówić? Czy ja sam nie mam oczu?

ANTONINA:

Zapewne siostra Wera. Ona tak samo jak pan
czuje jakąś niezrozumiałą niechęć dla mnie.
Ale to gaska, a pan dyrektor jest przecie
rozumny człowiekiem. Oświadczam panu, że
nie zależy mi na dyrektorstwie szpitala,
choćby dlatego, że to pociąga za sobą wie-
le pracy administracyjnej, do której nie
czuję skłonności. Że nikt mnie na to sta-
nowisko nie zamierza mianować. Że nie po-
siadam żadnej osobistej ambicji. No i Bóg
święty, jak można dowieść że się czegoś nie
zamierza zrobić? ...

WINIARSKI:

Dobrze, dobrze niech się pani nie tłumaczy.
Ta rozmowa jest przykra dla nas obojga i
powiedziakem na wstępie, że nie mam wiele
czasu. Kończmy więc. Co jeszcze zamierzała
mi pani powiedzieć?

ANTONINA:

A może jednak zdecydowałby się pan zwołać
ogólne zebranie całego personelu szpitalne-
go i wspólnie? ...

WINIARSKI:

Nie!

ANTONINA: Miakoby to tę dobrą stronę, że przekonaby się pan iż te propozycje, z którymi wobec pana występuję, nie są wynikiem jakichś dzikich roszczeń albo moich osobistych ambicji. Może ktoś inny zdołałby je lepiej uzasadnić.

WINIARSKI: Tylko na wyraźny rozkaz moich władz przełożonych będę słuchał uwag niższego personelu. A i wtedy nie wiem czy się nie podam do dymisji. Więc słucham pani projektu, mem nadzieję że już ostatniego.

ANTONINA: Gdyby ten projekt wychodził ode mnie, to bym go panu dyrektorowi nie powiedziała bo wiedziałabym z góry że będzie mu pan przeciwny. Ale to projekt Sochy, którego pan dyrektor lubi i ceni.

WINIARSKI: Czemuż on sam z nim nie wystąpi ?

ANTONINA: A chciałby z nim pan rozmawiać ? On jest w gruncie rzeczy ~~nieśmiały~~.

WINIARSKI: To raczej ja mógłbym się go bać niż on mnie. On jest partyjny, ja nie.

ANTONINA: ^{bez}Ja jestem partyjna, a nie boję się ani jego, ani pana. Tu nie o to chodzi, żebyśmy się mieli jedno drugiego bać. I dlaczego ? Socha przywykł po prostu słuchać rozkazów pana, pracuje tu przecie dawno i ~~z~~bardzo może przywykł do swego podrzędnego stanowiska.

WINIARSKI: Szanowna koleżanko, Sochę znam dawno i nie potrzebuję się pani ~~z~~ nim wstawiać. Jestem gotów rozmawiać z nim zawsze. Czy to już wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia ?

ANTONINA: Wszystko. Jaka będzie decyzja w sprawie przeznaczenia części mojego mieszkania na przychodnię ?

WINIARSKI: Ujemna. To już wszystko. Moje uszanowanie.

S C E N A V.

/ Winiarski - Socha /

SOCHA: Pani doktor mi powiedziała, że pan dyrektor chce sam ze mną pogadać o tej śmietnicy.

WINIARSKI:

Odkąd to pan Socha taki nieśmiały? Do obcych się zwraca, a nie do mnie wprost,

SOCHA:

Nie, ja mogę wprost. Tylko myślałem, że ta mądra kobieta jak pani doktor to wszystko lepiej wyłoży. Ja gadać nie umiem. Ale czemu nie, jak trzeba.

WINIARSKI:

Może wcale nie trzeba.

SOCHA:

Trzeba. U nas na posiedzeniu partyjnym się mówiło, że gdzie się da trzeba zakładać świetlice, gdzie można na ludzi działać, w głowach rozjaśniać, książki wtykać. To ja myślę, że przecie u nas sporo ozdrowieńców bez pożytku się pęta, łazi po korytarzu, siedzi na schodach. To gdyby im świetlicę urządzić, bibliotecznię, pisma, radio, to by jeden za drugim zamiast stękać i ziewać, czas przyjemnie i z pożytkiem przepędzili.

WINIARSKI:

I takimi rzeczami mamy sobie zawracać głowę my, lekarze.

SOCHA:

Nie, dlaczego lekarze? Choć pani doktor owszem... Ale siostra Wera powiedziała, że chętnie. Ona taka zła tera chodzi, odkąd doktor Zwardon do pani doktor czule oczy robi, to chciałaby pokazać że i ona coś lepszego, że się może kulturalną robotą zająć. O książki dbać i o gazety.

WINIARSKI:

Ach tak, widzę żeście sobie już sporo rzeczy omówili poza mną. Piękne dzięki panie Socha, że pan raczył do mnie przyjść z projektem. A gdzież to tę świetlicę umieścić?

SOCHA:

Chyba w suterynie, koło kuchni. Tam można by wyprzątnąć.

WINIARSKI:

Wyborne miejsce dla ozdrowieńców - suteryna.

SOCHA:

A jak nie ma innego? I oniby tam wcale nie musieli długo siedzieć. Ot zajrzeć, wziąć książkę, przeczytać gazetę, radia posłuchać. A z czasem się chyba szpital rozbuduje.

WINIARSKI:

Czy pan Socha już wydał odpowiedź na dyspozycje?

SOCHA:

Że niby co?

WINIARSKI: W sprawie rozbudowy szpitala.

SOCHA: Abo to, ode mnie zależy ?

WINIARSKI: Myślałem, że już wszystko od pana Sochy zależy, że ja już mam się tylko słuchać, ręki po szwan. Nie wiedziałem, że jeszcze coś tu znacze. Jeżeli pan Socha pozwoli, to ja tu jeszcze jestem w szpitalu dyrektorem.

SOCHA: Jakby pan nie był dyrektorem, to po co bym ja tu z tym wszystkim przychodził ? Ale każdy z nas, czy dyrektor czy sanitariusz chyba chce, żeby szpital był jak się należy i najlepszy jaki może być.

WINIARSKI: To już jest moja sprawa, panie Socha.

SOCHA: A moje nie ? Pan dyrektor to jeszcze bardzo po burżuazyjnemu myśli. To jest nasza wspólna sprawa. Szpital jest nasz, pospólny i robota pospólna być powinna.

WINIARSKI: Bardzo panu dziękuję, panie Socha, za pouczenia, ale narazie niech mi pan poda palto. Dziękuję. A teraz muszę panu powiezieć, że doktor Zwardon też jest partyjny, a nie zajmuje się wychowaniem mnie, starego. I nie ma wciąż nowych pomysłów, jak pan i ta pani ...

SOCHA: Doktor Zwardon jest dobry chirurg, ale to jeszcze mało.

WINIARSKI: Dla mnie to wystarczy. I może się pan weźmie do swoich zajęć, panie Socha, póki mi wolno wydawać panu jeszcze jakiegoś polecenia. I może pan może zaprząć konie do bryczki.
/ wychodząc /

SCENA VI.

/ Zwardon wchodzi, siada na fotelu, zapala papierosa. Wbiega Antonina /

ANTONINA: Ach, już nie ma dyrektora ? / Staje bezradna / Miałam z nim najgłupszą w świecie rozmowę. Nie możemy się dogadać.

ZWARDON: Ach, to przecie ramol.

ANTONINA: Przyszedłam raz jeszcze, myślałam że znalazłam słowo, argument, który zdoła go przekonać. Niech pan sobie wyobrazi, on ubrdał sobie że go chce wysadzić z siódła.

ZWARDON:

Po co mamy rozmawiać o starym pierniku.
Może mnie pani zaprosi na obiad.

ANTONINA:

Ja miałabym zostać dyrektorem szpitala !
Za nic i To nie dla mnie. Panuby, zdaje
się, bardziej to odpowiadało.

ZWARDON:

Z pewnością. O ile mnie nie przeniosą do
Warszawy. Gdybym miał tu zostać dopnę tego
i nikt mi nie przeszkodzi. Rozumie Pani ?
Nikt.

ANTONINA:

Po trupie starego ? I po co pan tak odkry-
wa przede mną swoje karty ?

ZWARDON:

Pani ich nie zdradzi. Pani mnie nie zdradzi.
No i myślę, że pani nigdy nie stanie mi na
drodze, prawda, najśliczniejsza ?

ANTONINA:

Już mnie pan kiedyś ostrzegał. Nie wiem, mo-
że i stanę, ale nie wtedy gdy będzie cho-
dziło o stanowisko. To mnie jakoś nie pasjo-
nuje.

ZWARDON:

A więc dziś wieczorem ? Sami w łodzi na
rzece.
Zapomnimy o tym nudnym szpitalu. .

ODSŁONA II.

SCENA I.

/ Wieczór w ogrodzie szpitalnym. Stolik, foteliki trzcinowe. Zwardoń - Antonina. Upłynęło dwa miesiące /.

ZWARDOŃ: Ach co za rokosz wyciągnąć się tak w fotelu nie mieć nic do roboty, o niczym nie myśleć. Siedzieć tu z tobą, we dwoje, noc taka ciepła. Swoją drogą nawet taka dziura jak ta może mieć swój urok.

ANTONINA: Dla mnie ma dużo uroku. W ciągu tak krótkiego czasu tyle się zrobiło. To daje satysfakcję.

ZWARDOŃ: Przyznaj się i moja osoba przyczynia się do uroku tego miejsca.

ANTONINA: Przyznaję, wiesz o tym dobrze. Nie wiedziałam że i dla mnie życie chowa trochę radości. To wielka niespodzianka.

ZWARDOŃ: Życie jest pełne niespodzianek, które co prawda czasem każą na siebie czekać. To irytuje.

ANTONINA: Oóż warta taka niespodzianka, której się człowiek spodziewa. Ciobie na przykład nie oczekiwałam w moim życiu. Ale wcale nie cieszę się że cię spotkałam.

ZWARDOŃ: To pochlebne dla mnie.

ANTONINA: Bardzo. Za bardzo. Nie chciałam rozpalać w sobie ognia, który zdawałoby się, wygasł już na zawsze. To dość nielitościwie z twojej strony, żeś postawił sobie za punkt honoru zdobycia mnie właśnie.

ZWARDOŃ: Jeszcze cię nie zdobyłem. I muszę ci powiedzieć, że to jest głupie i śmieszne. Młoda kobieta która się opiera, to ma wdzięk, wdzięk...

ANTONINA: Ale stara - to śmieszne?

ZWARDOŃ: Ale dojrzała powinna mieć i w tych sprawach trochę dojrzałości a nie jakieś mieszczańskie opory.

ANTONINA: Co to ma wspólnego z mieszczaństwem? Po prostu bóję się ciebie. Wiem przecie,

o.d.

że nie dobrego z tego nie wyniknie. Jestem starsza od ciebie. Jestem strasznie pochłonięta swoją pracą. Z ciebie kobieciarz, ambitny, zdolny. Dwa trzy zianane serca... Będzie i czwarte.

ZWARDON:

Któż myśli o przyszłości? Wszystko może być przecie inaczej. Zajmująca jest zawsze tylko chwila obecna. Rozumujesz, mądrzysz się, krótko mówiąc - nudzisz moja drogą. Daj się unieść fali, bądź zadowolona, że na tej głuchej prowincji spotyka cię coś wesołego i ciesz się tym ślicznym wieczorem.

ANTONINA:

Cieszę się, choć nie ma w tym nic wesołego.

ZWARDON:

I postaraj się aby noc była jeszcze piękniejsza. Zostanę dziś, Antonina. Prawda? / Antonina milczy / Zostaw okno uchylone. Zostawisz, prawda?

ANTONINA:

Nie wiem. Nie wiem. Nie mówmy o niczym. Siedźmy spokojnie. Tak jest dobrze. / Miczenie /

ZWARDON:

Tak ci się podoba ten towarzysz Ziembik z komitetu wojewódzkiego?

ANTONINA:

Podobał mi się.

ZWARDON:

Dzielny człowiek, ale jakoś nie umiałem znaleźć z nim kontaktu. Powiem ci szczerze, że choć rozumiem że partia musi mieć oko na wszystko, nie znoszę tego wtrącania się, tej bezustannej kontroli.

ANTONINA:

Dajże spokój. Tylko on jeden może wpłynąć na dyrektora. Dzięki niemu będzie świetlica, udało się też przełorować tę przychodnię dla matki i dziecka.

ZWARDON:

Przyczyn tyś złożyła całopalenie ze swego mieszkania, wielka ofiarnico!

ANTONINA:

On nam pomoże zdobyć pediatrę - to jest konieczne i doktor Winiarski przysiedzi trochę fałdów nad tą poradnią przeciugruźliczą.

ZWARDON:

/ ironicznie / Stary cię ogromnie za to kocha. Teraz oni siedzą jeszcze nad tym projektem i stary klnie w duchu.

ANTONINA:

Ale przyjdą tu na herbatę.

- ZWARDON: Skoro ich zaprosiłaś...
- ANTONINA: Lubię czasem mieć gości.
- ZWARDON: Zdawałoby się że taki gość, jak ja, powinien ci wystarczyć.
- ANTONINA: Przecież zaprosiłam ich właśnie ze strachu przed tobą.
- ZWARDON: No wiesz, oni całą noc nie będą siedzieli...
- ANTONINA: Kto wie, co się jeszcze do nocy może zdarzyć.
- ZWARDON: Moja droga, jeżeli to ma być dla ciebie taką męką, to przez samą grzeczność będę musiał zrezygnować. Czy ty czasem nie należysz do kobiet, które po tym mówią: "Co też pan o mnie pomyśli?"
- ANTONINA: To mi jest obojętne, co o mnie myślisz.
- ZWARDON: Albo które mówią: "To już na całe życie".
- ANTONINA: Nigdy takich rzeczy nie mówię. Nawet gdybym tak myślała. Ale muszę ci powiedzieć, że liczba mnoga jakiej używasz nie dowodzi zbytnej delikatności.
- ZWARDON: Nie jestem wcale delikatny. Jestem uparty i gwałtowny.
- ANTONINA: Jak to kiedyś powiedziałeś? Jak czołg zmierzasz do celu...
- ZWARDON: Tak powiedziałem. / milczenie / Dobrze tu...
- ANTONINA: Swoją drogą niepokoi mnie ten Rośniak. Operacja przeszła tak dobrze, a jego samopoczucie jakoś mi się nie podoba. Coś musi być nie w porządku. Gdybyś ty zechciał go zobaczyć.
- ZWARDON: Mówiłem tyle razy, że to twój chory.
- ANTONINA: To nie jest lekarskie podejście do sprawy. Dla ciebie nie istnieje człowiek tylko obiekt chirurgiczny, no i twoja urażona próżność.
- ZWARDON: Pięknie, teraz zaczniemy się kłócić. Lęka odejść.

ANTONINA:

Nie, zostań. Tembardziej, że chirurgiczna sprawa jest właśnie u Rościaka skończona. Rana zgojona. To raczej będzie się trzeba naradzić z Winiarskim.

ZWARDON:

Oczy nie mogłabyś w taki wieczór przestać mówić o chorych? Psiakość zabrakło mi papierosów. Czekaaj, tylko skoczę do siebie po pudełko. / Wychodzi /

S C E N A II.

/ Antonina - Wera /

WERA:

/ zza żywopłotu, żałośnie /
Pani doktor, pani doktor...

ANTONINA:

Co się stało.

WERA:

Nic się nie stało. Ja na chwileczkę. Niech mnie pani wysłucha. Ja słyszałam o czym tutaj mówiliście. Ja....ja.... nie mogę...
/ płacze /

ANTONINA:

/ surowo /
Siostró Wero, dziś jest pani dyżur.

WERA:

Ja wiem, ja na chwilę. Dotychczas nie miałam śmiałości, ale już nie potrafię dłużej. Pani doktor, niech mi go pani nie zabiera!

ANTONINA:

Nie mam zamiaru mówić z panią na ten temat.

WERA:

Ale ja muszę. Ja już nie mogę tak żyć! Na co on pani? Pani jest już stara, pani już miała męża. A ja nie mogę bez niego...

ANTONINA:

Głupia kobieto, czy pani nie wie, ile on kobiet miał dotąd, ile ich jeszcze mieć będzie?

WERA:

Znam. Ale ta aptekarzowa i sędzina. to co innego. Za panią on lata naprawdę. Na mnie nawet nie spojrzy. On się w pani kocha. Na co on pani.?

ANTONINA:

Na co on mnie? A bo ja wiem? Na to, żebym była nieszczęśliwa.

WERA:

Pani nie będzie nieszczęśliwa, pani jest młoda, pani ma swój fach, pani już trzęsie szpitalem. Może panią z czasem zrobić dyrektorem. On dlatego tak pani nie lubi.

ANTONINA: / śmiejąc się /
Co pani płacie ? Jak w gorączce. To że się
we mnie Kocha, to że mnie nie lubi. Albo
pani jest chora, albo ma pani szponność
de hysterii. Zresztą nie mam zamiaru
rozmawiać z panią na tematy osobiste.
Proszę wracać do chorych.

WERA: / płacze /
Pani doktor ...

ANTONINA: Dość tego. O Kochanka nie prosi się in-
nej kobiety. Sama pani powiedziała, że
jestem stara. Stara i zmęczona. Nie jest
tem groźna dla nikogo.

WERA: Pani doktor ...

ANTONINA: Jak się czuje Rośniak ?

WERA: / płacząc /
N...nie bardzo.

ANTONINA: Chodźmy do niego. To naprawdę ważniejsze
od romansów!

S C E N A III.

/ "Zwardoń - Ziembek" /

ZWARDOŃ: Ładna historia. Zaproszeni jesteśmy na
herbatę, a gospodyni nie ma. Przed chwili-
ką tu była. Siadajmy! Napewno zaraz wróci.

ZIEMBEK: Siadajmy. Zmachany jestem. Ciagle w roz-
jazdach. Żony i dzieci tygodniami nie
widzę. Na kółku zawiesiłem prywatne ży-
cie.

ZWARDOŃ: Ano tak samo my wszyscy.

ZIEMBEK: Cóż robić. To jest pionierski okres.
Budowanie z niczego. Urabianie ludzi. A
ten materiał ludzki taki oporny. Za to
jak komu oczy się otworzą na to co się
robi, to satysfakcja patrzeć: nie ma
nic trudnego.

ZWARDOŃ: / obojętnie /
Tak, tak, grunt, żeby mieć właściwe ide-
ologiczne podejście. Ale o czym to ja
chciałem mówić z wami towarzyszu ? Jakos
mi wyleciało z pamięci. Tak. Jak wam się
wydaje po przerwie nasz dyrektor ?

ZIEMBEK:

Jakby wam powiedzieć. Jakiś spłoszony. Co prawda w szpitalu są dość zniszczeni. Wzięliście się ostro do roboty. Może go to trochę męczy.

ZWARDON:

Właśnie, jest już... stary. Nie nadąża. Nasz szpital powinien stać się wzorem dla okolicy. Oprawda doktor Winiarski jest bardzo zasłużonym lekarzem.

ZIEMBEK:

W każdym razie umie pracować. To już jest coś.

ZWARDON:

Właśnie, ma dużo dobrej woli. Gdyby to można było samą wolą coś zdziałać.

ZIEMBEK:

Gdzie tam towarzyszu. On wcale nie ma dobrej woli. Stawia opór wszystkiemu, co wychodzi poza zwykłą jego rutynę. Ale jak już go się zgwałci, jak już ta nowa rzecz wejdzie mu też w rutynę, to robi ją porządnie. Weźcie tę przychodnię dla matki i dziecka. Ja wiem, co powiecie, że to nie on ją zmontował, tylko ta wasza doktor Leśna. Ale całą internę w związku z tym on robi i naraźnie zastępuje pediatrę. A jak sprzeciwia się temu z początku?

ZWARDON:

Ja nie mówię nic przeciw niemu jako internście. Ale ogólne kierownictwo szpitala przekracza jego siły, to jasne.

ZIEMBEK:

A co powiecie o doktor Leśnej?

ZWARDON:

Bardzo przystojna kobieta.

ZIEMBEK:

Nie o to pytałem.

ZWARDON:

A ja tylko to mogę powiedzieć. Tyle tylko o niej wiem.

ZIEMBEK:

Jakto, razem z nią pracujecie, pochacie szpital naprzód i tylko tyle macie o niej do powiedzenia.

ZWARDON:

Moi drodzy, przecież nie chcacie, żebym mówił nieprzyjemne rzeczy o miłej skądinąd koleżance. Że naprzykład lubi przekraczać swoje kompetencje i przez nadmierną ambicję wtrącać się do pracy innych kolegów. Że lubi się rządzić i wysuwać na plan pierwszy. Nie będę przecież takich rzeczy mówił, bo nie chcę jej szkodzić.

ZIEMBEK:

Jużeście powiedzieli. Rzeczywiście, to jest indywidualność, która odbija od tła.

a.d. Powiadacie że taka ambitna ?

ZWARDON: Czy ja wiem, może używam niewłaściwego wyrazu. W każdym razie jest wszędzie, wszędzie ją obchodzi, nabiera sobie coraz nowszych roboty, coraz to chce się wykazać nowymi myślami, lubi efekty : to zgłasza nowe porządki na przychodnię, to operuje swoje mieszkanie na przychodnię, to operuje swoje mieszkanie na przychodnię, to operuje swoje mieszkanie na przychodnię. Nie lubię nadgorliwości.

ZIEMBEK: Ani ja. A o tej operacji coś słyszałem...

ZWARDON: Właśnie. Chory mógł świetnie czekać do rana. Ale ona zawsze lubi być za przodownicą. Więc kup go, bardzo nie po koleżeńsku, bez porozumienia się ze mną, wbrew opinii dyrektora...

ZIEMBEK: Dyrektor uważał że można czekać do rana.

ZWARDON: Dyrektor nie wtrąca się do spraw chirurgicznych. Ja jestem chirurgiem i mówię wam że można było czekać.

ZIEMBEK: Ale słyszałem, że was właśnie wtedy nie było.

ZWARDON: Właśnie ona to wszystko zrobiła w tym celu, żeby mnie skompromitować, żeby się samej wykazać, rozumiecie...

ZIEMBEK: Ale ostatecznie chory uratowany...

ZWARDON: To wcale jeszcze nie jest pewne. Podobno jest dość kiepski.

ZIEMBEK: Podobno ? To wyście go nie oglądali ?

ZWARDON: Po co, skoro ona już go wzięła na siebie ?

ZIEMBEK: Niesłusznie, towarzyszu. Dlaczego ma chory cierpieć na waszych sporach.

ZWARDON: Każdy ma swoją ambicję. Zresztą jeżeli ten chory umrze, ja nie chcę być za niego odpowiedzialny.

ZIEMBEK: Niesłusznie towarzyszu, zawsze powinniście czuć odpowiedzialność za chorego. Ale swoją drogą, nie rozumiem, jeżeli tak jej zależy na karierze, po co sobie narobiła kłopotu z tym chorym. Przecież na takiej sprawie mogła się potknąć. Ryzykowne.

ZWARDON: Albo zrobić ze siebie opatrzeniową osobę, gdyby się udało. Większego kalibru gra.

c.d.

Zresztą, ja nie nie twierdzę, weźcie to sobie pod uwagę. Po prostu głośno myślę.

ZIEMBEK:

Więć pomyślcie jeszcze głośno, dokąd ona, waszym zdaniem zmierza?

ZWARDON:

Do wygryzienia Winiarskiego, to jasne. Przyznajcie się sami czyście już nie myśleli o niej, jako o dyrektorze szpitala?

ZIEMBEK:

Ozasami. Ona ma duży zmysł organizacyjny i od czasu jej przybycia, co tu dużo gadać, wiele się zmieniło. Braliśmy ooprawda i waszą kandydaturę pod uwagę.

ZWARDON:

No i co?

ZIEMBEK:

No ale wy przecież nie kryjecie się z tym, że chcielibyście się przenieść do dużego miasta.

ZWARDON:

Tak, ja zawsze gram w otwarte karty. Nie znoszę dwulicowej gry. Tłumaczyłem wam wiele razy, że moich zdolności szkoda na tę dziurę i że bardziej mogę się przydać gdzie indziej. Muszę wam powiedzieć, że partia grzeszy w danym wypadku partykularyzmem. Trzyma mnie tu, nie rozumiejąc jakby, że jestem potrzebniejszy na szerszej arenie. Trzeba dalej patrzeć towarzyszu.

ZIEMBEK:

Dajcie spokój, to jest przecie sprawa Ministerstwa Zdrowia.

ZWARDON:

Nie opowiadajcie, można wiele załatwić po linii partyjnej.

ZIEMBEK:

To prawdziwy kłopot, bo myśmy myśleli właśnie o was, jako o ewentualnym dyrektorze szpitala.

ZWARDON:

Naprawdę.

ZIEMBEK:

Mówiło się na ten temat.

ZWARDON:

Jedno nie przeczy drugiemu, a nawet się uzupełnia. Nie mam nic przeciwko temu, żeby jeszcze rok, dwa odgrywać tu rolę starego Winiarskiego, bo ostatecznie wolę się przenieść do miasta z tytułem dyrektora szpitala. Przecież tu nie chodzi o moją prywatną sprawę, tylko o dobro chirurgii polskiej.

ZIEMBEK:

Można i tak na to patrzeć.

ZWARDON: Moi drodzy, śmieszne żebym ja się sam zachwalał. Powinniście mieć o mnie wyrobione zdanie.

ZIEMBEK: / zagadkowo /
Mamy.

ZWARDON: Więc stary Winiarski wylatuje ?

ZIEMBEK: Tego nie powiedziałem. Narazie nie ma potrzeby go usuwać. Po prostu myśleliśmy głośno o tym i o owym.

ZWARDON: Lubicie żarty towarzyszu. Ja też, pod warunkiem żeby były dowcipne. I żebyśmy już całkiem mogli się uśmieć, powiedzcie mi, że na jego zastępcę przewidziana jest doktor Antonina Leśna.

ZIEMBEK: Kto wie, kto wie.

ZWARDON: Wybornie. Ja zaś jestem przewidziany do roli podwładnego ? To jest zwykły sojusz miernot przeciwko talentom. Ja się z tym nigdy nie pogodzę. Podam się do dymisji i sam poszukam sobie swojej drogi. Znajdę drogę do KC. Nie pozwolę się zatłamsić na prowincji.

ZIEMBEK: Nie denerwujcie się towarzyszu. Staramy się dla szpitala o nowego chirurga. Nikogo nie trzymamy się przemocą. Musicie jednak mieć cierpliwość, póki się ktoś nie znajdzie. Nie jest to takie bardzo łatwe.

ZWARDON: Więc powiedziałem, że zgadzam się zostać tu na czas pewien ale na stanowisku, które odpowiadałoby mojej istotnej wartości ! Jeżeli zaś zrobicie mnie podwładnym tej kobiety, nie zostanę tu ani chwili.

ZIEMBEK: Nie mogę powiedzieć aby wasz sposób mówienia, no i myślenia miały charakter partyjny.

ZWARDON: Na to już nic nie poradzę.

SCENA IV.

/Ziembek - Zwardon - Winiarski /

WINIARSKI: Mieliśmy tu dostać herbaty, a gospodyni nie ma, jak widzę. Może wobec tego wrócimy do mnie.

ZIEMBEK:

Poczekamy. Tu tak miło siedzieć. A herbata chyba nas nie minie. Możemy tymczasem sobie pogadać.

WINIARSKI:

Gdzie jest doktor Leśna?

ZIEMBEK:

Jak zwykle, okazuje swoją niezwykłą gorliwość.

WINIARSKI:

W każdym razie jest niegrzeczność dla naszego gościa. Na wszystko jest pora. Lekarz ma też prawo odpocząć. Chyba że nagły wypadek. Ale o ile wiem nie zgłoszono żadnego nagłego wypadku.

ZIEMBEK:

O co się mamy zastanawiać. Za chwilę się pewno wyjaśni. Wobec dyrektorze gratuluje, szpital prezentuje się co raz lepiej. Odwalacie tu każdy kawał roboty.

WINIARSKI:

Nareszcie słowo uznania. Nie jesteście na to zbyt hojni.

ZIEMBEK:

Czy nie możnaby tu poprosić jeszcze towarzysza Sochy?

WINIARSKI:

Czy naprawdę uważa pan, że i przy herbacie niższy personel szpitalny ma siedzieć z lekarzami?

ZIEMBEK:

Czy to może być szkodliwe dla niższego personelu?

ZIEMBEK:

Towarzysz jest dowcipny. Stwierdziłem to już dziś. Ale taka "urawnikówka" nie wydaje się być wskazana.

ZIEMBEK:

Jeżeli się nie mylę, towarzysz Socha pełni nierzadko funkcję lekarską, gdy zachodzi potrzeba. Rozmawiać mamy zamiar o sprawach szpitalnych. On ma zawsze coś ciekawego do powiedzenia. Chodzi mi w tej chwili o sprawę kuchni.

WINIARSKI:

Socha zajmuje się donosicielstwem?

ZIEMBEK:

Nie, ale rozmawiałem z chorymi i okazuje się że z wyżywieniem nie jest u was najlepiej.

WINIARSKI:

To fałsz. Co drugi dzień każe sobie podać obiad z kuchni szpitalnej.

ZIEMBEK:

I podają dyrektorowi na pewno świetny obiad. Wcale nie wątpię.

WINIARSKI:

Trudno żebym siedział w kuchni.

II - 56.

ZIEMBEK:

Ożasem zajrzeć nie zawadzi. Są u was ta-
oy, którzy zaglądają.

WINIARSKI:

Zapewne znów doktor Leśna.

ZIEMBEK:

Nie lubicie jej tutaj jak widzę ?

WINIARSKI:

Niech pan zapyta w kuchni jak ją kochają.

ZIEMBEK:

Oż ludzie nie przepadają za kontrolą :
A Sochy pewno też tam nie lubią ?

WINIARSKI:

A nie. A ja zapewniam pana, że kuchnia
jest w zupełnym porządku, wszystkie ra-
chunki się zgadzają.

ZIEMBEK:

Proponuję stworzenie egzekutywy szpital-
nej i wzmoczoną kontrolę. Proponuję żeby
towarzysz Socha wszedł do egzekutywy. Za
tydzień zwołamy specjalne zebranie.

WINIARSKI:

Widzę, że tu już każdy będzie miał prawo
głosu w moim szpitalu.

ZIEMBEK:

To nie jest pana szpital dyrektorze. To
jest nasz wspólny szpital, prawda dyrekto-
rze ?

ZWARDON:

W każdym razie nie mój. Ja stąd wychodzę.

WINIARSKI:

Skąd ta nagle decyzja ?

SCENA V.

/ Ziembek - Winiański - Zwardon - Antoni-
na /

ANTONINA:

/ wpada biała, przerażona / Rośniak ma
zapaść. Dyrektorze błagam, niech pan
biegnie do niego. Ja tylko wpadnę do do-
mu po tę dużą strzykawkę.

ZWARDON:

Mówiłem. To właśnie ten chory którego usz-
częśliwiła doktor Leśna swoją operacją.

WINIARSKI:

Głupstwa pan mówi kolego. Trzeba biec.
Może to zawał serca. Pośpieszcie się
koleżanko / wybiegają /.

SCENA VI.

II - 57.

/ Ziembek - Zwardoń /
A wy nie biegniecie z nimi ?
To już nie jest sprawa chirurgiczna.
Czyli nie operacja tu zwinika ?
To są skutki pooperacyjne.
Nie znam się bardzo na sprawach lekarskich.
Ale zwał, to znaczy skrzep w sercu ?
Może. Nie oczekujecie chyba po mnie wyka-
du medycznego.
Nie. Tylko samiście powiedzieli przed chwi-
lą, że stąd odchodzicie, więc po co dalej
oskarżać koleżankę.
Nie rozumiemy się i nie zrozumiemy nigdy.
I ja tak myślę. / Zwardoń wychodzi /.

SCENA VII.

/ Ziembek - Marcysia /
ZIEMBEK: Towarzystwo Wierna !
MARCYSIA: Słucham, towarzyszu .
ZIEMBEK: Powiedzcie mi co tu się właściwie dzieje ?
MARCYSIA: Abo to sami nie widzicie. Widzieliście, kie-
dy jak psy na zająca naskoczą. Tak i tu nas-
kocyli. Zagryzom ją jak ich nie porozpę-
dzacie.
ZIEMBEK: Doktor Leśną ?
MARCYSIA: A jom. Ona bezpartyjna, a jom partia po-
winna bronić, bo ona tu porządek robi.
Pracuje.
ZIEMBEK: A Socha ?
MARCYSIA: Co Socha ? To swój człowiek.
ZIEMBEK: A doktor Zwardoń też swój ?

MARCOŚLA:

Gdzie ta swój. To cudzy .

ZIEMBEK:

Trudno się rozeznać, towarzyszo Mierna,
kto jest swój, kto cudzy.

A K T III.ODSŁONA I.SCENA I.

/ Pokój dr. Leśnej. Tapczan, biurko, widok na ogród /
 / Antonina - Matka /

MATKA:

No dziś to już sobie chyba nie nawaliłaś żadnej roboty. Niedziela, piękna pogoda, mogłabyś sobie poleżeć w cieniu pod drzewami, chcesz to ci wyniosę koc.

ANTONINA:

Tak, dziś odpocznę trochę. Odkąd ten Jasiek Rośniak zaczął powracać do zdrowia, mam uczucie jakby góra zwała się mi z ramion.

MATKA:

Jeden kłopot się skończył, znajdziesz sobie inny.

ANTONINA:

Być może ale nie dziś. Dziś chciałabym leżeć bez ruchu, nic nie czuć, nie myśleć. Dziś musi być prawdziwy dzień odpoczynku. Jakoś atmosfera dookoła mnie się przejaśnia. Z Tiniarskim stosunki zaczynają się układać zupełnie możliwie. To nie jest żły człowiek, tylko boi się własnego cienia, uprzedza się do ludzi i z trudnością nagina do jakichkolwiek zmian. I w rezultacie nie czuje że sam się zmienia. Nieuchwytnie ale po troszku - codzień.

MATKA:

Zaczynasz ty nim kręcisz, dawniej kręcił nim Zwardoń. Ty i tym Zwardoniem kręcisz Antosiu. Przyznaj się jak naprawdę sprawy stoją. Ja przecież widzę że on tobą jest zajęty.

ANTONINA:

Nie wiem mamó. Sama nie nie wiem. - Stara już jestem, mamó, bardzo stara.

MATKA:

Głupstwa pleciesz moja droga.

ANTONINA:

Nie będziemy mówić o doktorze Zwardoniu, mamó. Przynajmniej do pewnego czasu, dobrze? Mówmy o Sosze, mówmy o Marsyci, o kim chcesz, ale nie o Zwardoniu.

MATKA:

Cóż mówić o Sosze, albo o Marsysi, pocziwe dusze, wiadomo, ale nie mogą mieć wpływu na twoje życie.

ANTONINA:

Ozemu nie? I-ch obecność jest dla mnie bardzo wzmacniająca. To są przyjaciele. Świat wydaje mi się bardziej przyjazny, kiedy oni są ze mną.

MATKA:

A ja bym chciała żebyś ty wyszła zamaż.

ANTONINA:

Mamo, zrozum że małżeństwo nie jest dla kobiety tym czym było w twoich czasach. Nie jest niezbędnym dopełnieniem życia, nie jest sprawą ambicji dla kobiety, umocnienia jej sytuacji w życiu. Może się jeszcze zdarzyć że wyjdę zamaż, ale nie ma tu żadnej konieczności. Nie będę dążyć do tego, nie zależy mi na tym, nie chcę sobie niczym komplikować życia.

MATKA:

Kto tam o ciebie zrozumie, kto się z tobą dogada? / wchodzi /.

SCENA II.

/ Antonina kładzie się na tapczanie. Wsuwa się Marcysia nieśmiało przez otwarte drzwi /

MARCYSLA:

Można do pani doktor?

ANTONINA:

Wejdz Marcysiu. I siadaj. Ładną masz sukienkę. Wychodzisz?

MARCYSLA:

E gdzie. W ogrodzie posiedzę. Hdzie mi ta kazić?

ANTONINA:

Wiem, że teraz szpital cię więcej ciągnie niż spacer. Jak tam Jasiu.

MARCYSLA:

Kno, co i raz to mocniejszy. Siedzi se ta i książkę czyta.

ANTONINA:

To mądry chłopak. Niedługo już go wypiszemy.

MARCYSLA:

Pani doktor, ja bez te i przysła. Pani doktor, wydać się za niego czy jak?

ANTONINA:

Marcysiu Kochana, jak ja ci mogę radzić, siebie się zapytaj. Młoda jesteś bardzo, ale takie rzeczy wie się najlepiej samemu.

MARCYSLA:

Ja nie bez to. Ja wiem, co go chce. Ale on - znajda.

ANTONINA:

No to co?

MARCYSIA:

A jo gospodarsko oórko, choć i na styrech morgach.

ANTONINA:

No to co ?

MARCYSIA:

Pani doktor to ino cięciem: no to co. Jak-ze ja za znajdę pójdę. Śmiać się będą.

ANTONINA:

Boisz się ? To przy chorych zakaźnych chodzić się nie boisz, a śmiechu głupców się boisz ?

MARCYSIA:

I jesteście to pani doktor, że on za te spółdzielnie produkcyjne tak stoi. To bez tego postrzelili. Powiedzieli: jak sam gołkiem chodzisz, to i całe wieś chcesz komunistom zaprzedać ? Nie lubię jego bardzo te bogate. To jak się za niego wydać ?

ANTONINA:

A ty Marcysiu jesteś bogata ?

MARCYSIA:

E, gdzie !

ANTONINA:

A dużo dobrego od tych bogatych zaznałaś ?

MARCYSIA:

Od bogatych ? Gdzieta..!

ANTONINA:

Więc co ci na nich zależy. Nie ma tam wsi biedaków, takich jak wy ? Którzy nie będą się z'was śmiać, ani strzekać do Jasza ?

MARCYSIA:

Som, pewnie że som. Ale te spółdzielnie. Pani doktor myśli, że dobre ?

ANTONINA:

Myślę, że dobre.

MARCYSIA:

Ale jakżeż tak, nie pracować na swoim ? Nikt nie zechce robić.

ANTONINA:

A ty tu pracujesz na swoim ? Ten szpital jest twój. A źle pracujesz ? Żeby tak wszyscy pracowali jak ty!

MARCYSIA:

Kiej to co innego.

ANTONINA:

A robotnik w fabryce, a urzędnik w biurze pracują na swoim ? A czy źle pracują ? Dlaczego ziemia ma być własnością poszczegól-
gólnych ludzi ?

MARCYSIA:

Jasiek powiada jeszcze, że w tem kółchozie to wszyscy będą równi, nikt mu od znajdów wymyślać nie będzie, ani od nędzotów. Ze chałupę dostaniem z ogródek i z radem, a robić się będzie na pospólnem.

ANTONINA:

Prawdę mówi. To ty chcesz szpital rzucić?

MARCYSLA:

On powiada tak :ze ja już szpital znając, żeby się do uczynio wziąć, tu w mieście do szkoły dla dorosłych chodzić, a po tym na kurs pielęgniarstwa, to tam w spółdzielni dla mnie robota będzie przy dzieciakach i przy matkach.

ANTONINA:

Mądry ten twój Jasiu. Cieszę się, że wyzdrowiał, ach jak się cieszę że on wyzdrowiał!

MARCYSLA:

A ile zdrowia pani doktor bez niego straciła....

ANTONINA:

Warto było. Dla każdego wartoby było, ale dla niego tembardziej. Więc co Marcysiu, siu, rzucasz szpital, pobieracie się?

MARCYSLA:

Pobrać, to my się może i pobierzem a nie zaraz. Jak pani doktor jednego ducha z Jasiem, to ucyć się będę, niech ma uciomzoną. Teraz wszyscy się uciom. A my młode som, mnie na dwudziesty idzie to pare lat zacekać mozem.

ANTONINA:

Żebyś się tylko nie rozmyśliła przez ten czas. Ale nie. Ja z twoim Jasiem dużo rozmawiałam, chłopak czytał sporo, wie czegoś chce, pracować umie, on się stanie wybitnym człowiekiem w tej spółdzielni produkcyjnej. Dopiero za parę lat zrozumiesz, kogoś sobie wybrała. Wtedy nie będziesz bała się ludzi, ani ich śmiechów, ani prześladowań.

MARCYSLA:

Ja do pani doktor jak do matki. Bo moja matka głupio. Ciężko chce żeby ja za bogatego wysła.

ANTONINA:

A ja co prawda posądzałam cię o Sochę.

MARCYSLA:

Ale, ja mu tam potrzebno! On wyżej pa-trzy.

ANTONINA:

Ty jesteś bardzo wysoko Marcysiu. Tyś przecież i beze mnie wiedziała, co masz robić, tylko chciałaś się jeszcze upewnić, prawda?

MARCYSLA:

Ano niby tak.

ANTONINA:

A teraz ci powiem, że się z początku bardzo przelekłam, że już sobie chcesz pójść ze szpitala. Jestem tu bardzo samotna.

Ale pani doktor ...

MARCYSIA:

ANTONINA:

Cicho bądź. Nie nie mów. Dobrze że jeszcze zostajesz tu z nami. Niech ten twój Jasiek tymczasem pomoże stworzyć wspaniałą spółdzielnię produkcyjną, która pokaże chłopom na wsi jak się żyje i jak się pracuje. Będzie miał pełne ręce roboty. A ty pobądź tu jeszcze z nami.

MARCYSIA:

Ale dyrektor musi mnie zwalniać po południu na kursa.

ANTONINA:

Pomówimy z nim o tym.

ANTONINA:

Doktor Zwardoń tu idzie. Mnie pani doktor poradziła, to niech teraz sobie poradzi, żeby dobrze było.

ANTONINA:

Ach, Marcysiu sobie trudniej radzić niż innym.

S C E N A III.

/ Antonina zrywa się gorączkowo, chodzi po pokoju. /

ZWARDOŃ:

Czy można ?

ANTONINA:

Można. Chciałam właśnie po ciebie posłać.

ZWARDOŃ:

Cóż to się stało ? Ostatnimi czasy nie byłeś na mnie zbyt łaskawa, zawsze czymś zajęta, po prostu zrezygnowałaś z naszej przyjaźni.

ANTONINA:

A właśnie, pomówmy o naszej przyjaźni. Bardzo zabawne słowo w twoich ustach.

ZWARDOŃ:

Niechętnie go używam. Już ci kiedyś mówiłem, że nie uznaję przyjaźni między mężczyzną a kobietą. Może ona być tylko przyprawą miłości, niczym więcej.

ANTONINA:

To prawda mówiłeś.

ZWARDOŃ:

Więc czego chcesz ode mnie ?

ANTONINA:

Spójrz mi prosto w oczy.

ZWARDOŃ:

Proszę bardzo.

ANTONINA:

I możesz tak patrzeć, po tym jak postępowales ?

ZWARDON: Nie bardzo cię rozumiem .

ANTONINA: Rozumiesz doskonale. Byłeś dla mnie naj-
słodszy w oczy, a za oczami intrygowaleś,
jak mogłeś.

ZWARDON: Skąd czerpiesz takie informacje ?

ANTONINA: To już moja sprawa.

ZWARDON: Masz swój wywiad, jak widzę. A czy spraw-
dzałeś czy ten wywiad dobrze działa ?

ANTONINA: Chcesz się więc zaprzecć wszystkiego ?
Oenikam cię wyżej.

ZWARDON: Nie zapieram się niczego. Po prostu zwrac-
cam ci uwagę, że twoje informacje mogą być
nie być zupełnie ścisłe.

ANTONINA: Nie wykręcaj się, miej odwagę mówić prawdę.

ZWARDON: Ja zawsze mówię prawdę.

ANTONINA: Właśnie !

ZWARDON: Czasem nie całą prawdę. Ale o co ci właś-
ciwie chodzi ?

ANTONINA: Już ci powiedziałam. Szkodzisz mi na każdym
kroku. Usposabiasz ludzi dla mnie jak naj-
gorzej. Stwarzasz wokół mnie niemożliwą
atmosferę. Długo nie mogłam dojść, komu to
zawdzięczam. Po tym nie mogłam uwierzyć.

ZWARDON: Założmy na chwilę, że to jest prawda.
Zwracam ci uwagę: założmy tylko, no to co z
tego ?

ANTONINA: Jakto co ?

ZWARDON: A tak. Czy jesteś nietykalna ? Czy nie wol-
no cię krytykować ? Czy kiedykolwiek zo-
bowiązywałem się do tego żeby pisać hymny
na twoją cześć ?

ANTONINA: Nie, ale . . .

ZWARDON: Co, ale ? Zwracam ci uwagę, że ja bynaj-
mniej nie potwierdzam twoich słów, ale
skoro wpadasz na mnie z taką awanturą, chcę
i ja sobie wyjaśnić pewne sprawy.
No i tobie, przy okazji.

ANTONINA: Doskonale, wyjaśnijmy. Nie zobowiązują-

20

żeś się do niczego, to prawda, ale jednocześnie prawkiem mi szkodnie słówka, zachwycałeś się mną co słowo...

Odkładałem cię. I co dalej ?

ZWARDON:

ANTONINA:

I jednocześnie kopasz dołki za moimi plecami. To ohydne.

ZWARDON:

Nie uważam. Co ma jedno do drugiego ? Ostrzegam cię odrazu za pierwszym widzeniem. Nie moja wina, żeś moje oskarżenie zlekceważyła.

Powiedziałem ci, jeżeli pamiętasz, że ja ściśle odróżniam sprawy miłosne od zawodowych, kobietę od kolegi. Że dla kobiety mogą mieć pewne wszystkie względy, ale nie dla kogoś kto mi staje na drodze.

ANTONINA:

ZWARDON:

Ja ci stawiałam na drodze, ja ?

Zważ moja droga, że rozmawiamy wciąż hipotetycznie. Ja wcale nie uznałem skusności twoich zarzutów i podpisałem się pod nimi. Mówimy cały czas "gdyby". Otóż powiadam, że gdybyś mi stanęła na drodze w mojej pracy zawodowej...

ANTONINA:

Albo w dążeniu do kariery...

ZWARDON:

Albo w dążeniu do kariery, to zgniotłbym cię jak czokg. Tak jest, postawiłem sprawę jasno od razu. A ty mówisz, że ja kłamie.

ANTONINA:

Rzeczywiście, jestem naiwna. Wyobrażałam sobie, że to jest niemożliwe zalecać się do kobiety i szkodzić jej jednocześnie, jako towarzyszowi pracy.

ZWARDON:

Jesteś naiwna. Nikt ci tego jeszcze nie powiedział ? Jesteś naiwna i to jest jednym z twoich uroków, mimo że odtąd wdzięk naiwności przypisywano raczej dziewczętom niż dorosłym kobietom. Ale cóż ja na to poradzę, że jesteś naiwna ?

ANTONINA:

Kiedys robiłam zastrzyk pacjentowi o dziwnie twardej skórze. Wszystkie igły ześlizgiwały się po niej, żadną nie mogłam trafić. Wiecie też nie mogę. Jesteś gładki, twardy

ANTONINA: Już znów zaczynasz.

ZWARDON: Zawsze będę zaczynał, póki mi pozwolisz widywać siebie. Jesteś starsza ode mnie, jesteś spracowana i zmęczona, a ja, co cię nie przeszkadza, nie potrafię się oprzeć. Dla ciebie, któremu byłbym zrobił największe głupstwo na świecie, nie mam stać: ożenić się z tobą, gdybyś tego chciała.

ANTONINA: Zaczynasz grać atutami. Czy to nie nie-ostrożnie? Ach nie, twój każdy ruch jest obmyślony. Wiesz dobrze, że wyzwanie nie przyjmę.

ZWARDON: Ach, co za szkoda, że jesteś taka prosto-linijna, taka lojalna, taka uczciwa. Za dużo masz cnót. To, na szczęście, uniesz-kodliwia twój urok. Gdybyś była jadowitsza, bardziej skomplikowana, niegodziwsza, że-den mężczyzna by ci się nie oparł.

ANTONINA: Ach dosyć! Męczysz mnie. Nie pragnę żad-nych mężczyzn. Nie pragnę ciebie. Pociąg wszedł w moje życie? Pociąg się na mnie zawisał? Nie pragnę twoich względów, brzydzą mnie twoje antrygi. Odejdź już, zostaw mnie.

ZWARDON: Kapitulujesz zbyt łatwo. Pomyśl, czy w tej dziurze, przy tej pracy, w twoim wieku bę-dziesz miała wiele szans zdobycia mężczy-zny takiego jak ja? Jesteś kobietą doro-słą, samotną i wolną. Możesz przeżyć bar-dzo piękne chwile, które zostawia ci ślad-ki bardzo wspomnienia. A ponieważ jestem w tobie zakochany, naprawdę, na tyle, na ile mnie stać - widzisz znów nie kałmę - więc w twojej mocy jest zdobyć mnie na stałe. Nie mówię że się nie będę opierał, nie twierdzę że będę wiernym mężem, ale gdybyś miała choć trochę kunsztu, mogłabyś sprawić żebym się z tobą ożenił.

ANTONINA: Dość już tego. Nie wiem, czy to jest jaka nowa twoja gra, czy też najochytrzejszy człowiek lubi czasem czuć, że gotów jest zrobić szaleństwo, to sprawia mu widocznie taką rozkosz, jak spoglądanie w przepaść. Chcesz być wspaniałomyślny i szalony, chcesz mnie porwać i zachłystać się własną wiel-kodusznością? Daj spokój. To nie dla mnie. Ty i ja. Ty pierwszy amant naszego miaste-czka, a niedługo może pierwszy amant jed-nego z największych warszawskich szpitali

c.d.

i ja starzejąca się, zaharowana koleżanka, nie kobieta, tylko właśnie koleżanka, która ma sto rzeczy ważniejszych na głowie niż twoje zaloty.

ZWARDON:

Nie oczerniajs się. Jesteś we mnie zakochana.

ANTONINA:

To nie ma najmniejszego znaczenia. Tego nie nazywam miłością. Ty robisz to dziewczęce i straszliwie staroświeckie rozróżnienie: kobieta, koleżanka. Śmieszysz mnie. Jesteś jak niemodny kapelusz. To z zupełnie innej epoki, mój drogi. Cały jesteś potrosze z innej epoki. Ja nie rozumiem twoich rzekomo subtelnych, w istocie rzeczy prostackich rozróżnień. Ja, żeby kochać człowieka, muszę go szanować. To wszystko co ci miałam do powiedzenia.

ZWARDON:

Zdaje mi się, że już gdzieś, kiedyś takie słowa słyszałem. Nie są one zbyt nowe. Zdaje się, że istotnie szacunek jest jednym z najważniejszych składników miłości kobiecej no i wszystkich komunaków. Z nami ma się rzecz nieco inaczej.

ANTONINA:

Nieprawda. Teraz ty się oczerniasz. Jeżeli tyś poczuł naprawdę niezrozumiały pociąg do mnie, mimo że jestem starza od ciebie i bynajmniej nie efektowna, mimo że uważasz mnie za mało zajmującą, naiwną czyli po prostu głupią, to właśnie dlatego, że czujesz dla mnie mimowolny szacunek. I to żeś próbował mnie szkodzić, jest też mimowolnym wyrazem tego szacunku. Szkodziłeś mi, więc widocznie uważałeś mnie za niebezpieczną. Tak wygląda szacunek w twoim ujęciu.

ZWARDON:

Więc okazuje się że nie jesteś tak prymitywna jak mi się zdawało. Rozumiesz niektóre rzeczy. Antosiu ja naprawdę stracę głowę dla ciebie. / usiłuje ją pocałować /

ANTONINA:

Daj spokój. Dziś twoje sztuczki nie mają na mnie władzy. Odbronzowałeś się w moich oczach, mój drogi. To ty jesteś prymitywny jak dziecko. Intrygujesz naiwnie, wierząc niewiadomo czemu, że się to nie wyda. Dązysz do tej swojej upragnionej kariery, jak barbarzyńca do blyskotek demaskując się zbyt łatwo. Przy zdobywaniu kobiety posiłkujesz się najchętniej gestami...

ZWARDON:

Nosisz kolczyk w nosie i mówisz na jedzenie: niam, niam!
Piękny portret i nawet trafny, tylko niezupełnie podobny. Gdybym był taki, jakim mnie przedstawiasz, nie zakreśliłbym ci tak mocno w głowie, choć się tego wypierasz, no i nie mógłbym zrobić owej kariery, o której mówisz z taką pogardą, bo bym się ośmieszył od początku. A jednak zdobyłbym cię, gdybym tu został dłużej...

ANTONINA:

/ błada/
Wyjeżdżasz?

ZWARDON:

Tak, nie chciałem jeszcze o tym mówić, ale zmusiłeś mnie do tego, tym wybrzydzeniem się na moją osobę. Gdybym był taki śmieszny i prymitywny, jakim chciałeś mnie przedstawić, nie poznanoby się na moich chirurgicznych talentach i nie zaproszono by mnie do jednego z najpoważniejszych szpitali warszawskich. Słowem nie mógłbym zrobić owej kariery o której z taką pogardą mówisz, a na której mi bardzo zależy, jak każdemu utalentowanemu człowiekowi.

ANTONINA:

/ znużonym głosem /
Czy jesteś pewien że nie było innego sposobu dążenia do niej?

ZWARDON:

Mniejsza o sposoby, skoro cel jest osiągnięty.

ANTONINA:

Co wobec tych olśniewających projektów znaczący twoje oświadczenia.

ZWARDON:

Prawie że oświadczenia, moja droga. Wyjeżdżam dopiero za miesiąc. Przez ten czas moglibyśmy przeżyć bardzo wiele, a mądra kobieta potrafiłaby przyłączyć do siebie mężczyznę.

ANTONINA:

Zdradziłeś się jednak przypadkiem ze swoimi planami. Rozumiłeś że wobec nich twoje zakłęcia miłosne brzmiałyby zbyt już nieprawdopodobnie. Mówiłeś znów prawdę, ale nie całą prawdę. Jesteś sobie zawsze wierny.

ZWARDON:

Pochlebiasz mi.

ANTONINA:

To jest nasza pożegnalna rozmowa. W czterech czy - myślę. W tym miejscu drogi nasze się rozchodzą. Tutaj umiera dla ciebie Antonina, kobieta której zrobiłeś miłomówną wielką krzywdę, zawoławszy na nią

c.d.

głosem szczęścia, które już jej nie jest
sądzone. Tu pozostajesz tylko z koleżanką,
doktór Leśną, której chciałeś zrobić krzy-
wdę świadomie, ale nie miałeś po temu dość
siły. Teraz jeszcze przez miesiąc będziesz
pracował z tą obcą sobie osobą, która się
będzie miała przed tobą bardzo a bardzo na
baczości.

ZWARDON:

Szkoda! Wielka szkoda. Będziesz tej decy-
zji nie raz żałowała. Mówię o antosi oczy-
wiście. Nie przechodzi się tak koło przy-
gody, koło miłości. To wielki błąd. Co do
doktór Leśnej, to może się ona mnie już
więcej nie obawiać. Minałem ją na swojej
drodze. Gdyby chodziło o dyrektorstwo tego
szpitala, byłaby dla mnie groźnym rywalem,
którego zwalczyłbym bez najmniejszych skru-
pułów. W walce o byt nie ma miejsca na galan-
-terję. Ale ja już jestem gdzie
indziej. Ja już jestem w Warszawie. Doktór
Leśna może być spokojna.

ANTONINA:

Ja byłem zawsze spokojna. Nawet gdybyś zdo-
łał mnie stąd wygryźć, znalazłabym pracę
gdzieindziej. Mnie nie o posadę chodziło,
i może nawet tobie samemu nie. Co ci tam
dyrektorstwo prowincjonalnego szpitala!
W tej walce jaką mnie wypowiedziałeś chodzi-
ło o co innego. Nasz stosunek do pracy był
inny, i do warsztatu naszej pracy, i do
ludzi. Tyś dobrze, ale bezdusznie wykonywał
swoją pracę, żeby się popisać przed samym
sobą, i prze ~~a~~ tymi którzy mogliby ci dopomóc
w dalszej drodze.

ZWARDON:

Wątpię czy znajdziesz równego mi chirurga.

ANTONINA:

Może i nie. Ale w medycynie nie tylko chodzi
o zręczność rzemiosła. Medycyna jest służbą
człowiekowi. A nasz szpital jest jednym z
ogniw tego, co się teraz dla szczęścia lu-
dzi buduje.

ZWARDON:

Kaznodziejstwo jest najmniejszym twoim uro-
liem, moja droga. Mówię ci to na pożegnanie,
skoro chcesz mnie odrzucić i być okrutna dla
siebie i dla mnie.

ANTONINA:

Chcę. Dla siebie. Bo coś tobie moje okru-
cieństwo, Chcę sobie dobrze zdać sprawę z
tego, co było przez pewien czas dla mnie
tak bardzo dręczącą zagadkę. Dlaczegoś
choć ci się podobałam, zwalczałeś mnie
tak bezwzględnie na terenie naszej pracy?
Tak, to nie tylko chodziło o to, żeś dążył

c.d.

do kariery. W moim sposobie pojmowania pracy, w moim stosunku do chorych było coś bardzo ci nienawistnego. My zupełnie inaczej patrzyni na te sprawy.

ZWARDON:

Być może. Oczywiście ty sobie rezerwujesz piękną rolę w tym wszystkim, mnie pozostawiając sytuację czarnego charakteru. Cóż robić, nie mam zamiaru się wybielać, to ci pomoże łatwiej przeboleć moją stratę. Szkoda tylko, że się tak gorzko rozstajemy.

ANTONINA:

Szkoda, że tak gorzko. Nad stratą twoją boleć nie będę. Już ją przebolełam, zanim tu przyszedł, zanim zdałam sobie jasno sprawę z tego co dziś rozumiem. Żegnaj, don Juanie

ZWARDON

Żegnaj, partaczko szczęścia. Nigdy nie byłem w tobie zakochany tak jak w tej chwili. Ale teraz już zapóźno, za ciężkie skowa pały między nami.

ANTONINA:

Zapóźno. Żegnaj. I od tej chwili jesteśmy znów na "pan"i"pani."

ZWARDON:

Wedle rozkazu. / wychodzi /

SCENA IV.

/Antonina - Socha /

SOCHA:

Pani doktor... / siada ciężko z ponurą zwieszoną głową / Żeby to jasna cholera!

ANTONINA:

Ładne powitanie. Nie widzieliśmy się przecie dzisiaj.

SOCHA:

A tak. Nie rozmawialiśmy od tego dnia. Głowa mi uschła. Myślę i myślę. Uczyć się? Na lekarza. Stary chłop. Trzydzieści pięć lat. Nie, to śmiechu warte!

ANTONINA:

Ależ panie Macieju, co w tym śmiesznego?

SOCHA:

No i co mam robić? Namysliłem się. Zapiszę się na to studium zaoczne. Niech przysła książki i wszystko. A teraz mi głupio, ach jak głupio. Jeszcze towarzysze, jak się dowiedzieli powiadają, po tym i na uniwersytet muszę... Na lekarza. Chyba mi zajęce w tym starym łbie skaczą, że się na to zgodziłem! Teraz już by było wstyd się cofnąć.

ANTONINA:

No chyba, ale czemu pan taki nieswój. Pan tego przecież zawsze w gruncie rzeczy pragnął.

SOCHA:

Pragnąłem, ale nie chciałem.

ANTONINA:

O już głupstwa pan zaczyna mówić. Co się z panem stało?

SOCHA:

Być doktorem, tak odrazu, to pewnobyć chciałem. Ale tak, nawet w skróceniu, matury nie zrobię prędzej jak za trzy lata. I teraz otwieraj- Akademię Lekarskie - też trzy lata. To już najmniej sześć, bo zawsze jeszcze może coś wyskoczyć. To pan doktor rozumie: będę miał 41 - 42 lata jak skończę.

ANTONINA:

To i co? Pan uważa że czterdziestoletni doktor jest starcem?

SOCHA:

To nie to... Ale tak wstyd jakoś w tym wieku brać się do nauki.

ANTONINA:

Panie Macieju, te słowa nie są godne pana.

SOCHA:

A jak mi nie pójdzie? Jak nie potrafię się uczyć? Jak mi nie do kba nie będzie lazko? Jak się ośmieszę przed wszystkimi na tym uniwersytecie.

ANTONINA:

To wróci pan tutaj, do nas i ja się będę strasznie cieszyć. Ale niestety dla mnie, a na szczęście dla pana, tak nie będzie. Pan już dużo wie i umie, więcej niż się panu zdaje! Pan przez trzy lata zrobi maturę. Pan umie pracować, potrafi pan być zawzięty. Pójdzie na pewno.

SOCHA:

Dobrze przynajmniej, że narazie mogę się uczyć na miejscu. Oni inaczejby tu panią zagryzli. Ten Zwardón...

ANTONINA:

Doktor Zwardón odchodzi.

SOCHA:

Nie może być!

ANTONINA:

To jest sekret, ale panu mówię, żeby pan był spokojny.

SOCHA:

To i lepiej, dla niego, że stąd wyjeżdża. W partii źle o nim mówią. To człowiek nie dla nas.

ANTONINA:

/ słabo /
To bardzo zdolny chirurg.

SOCHA: A kto mu broni być chirurgiem? Ale od partyjnego jeszcze się czegoś więcej od da. / Pauza / To on wyjeżdża? A... a pani nie jedzie z nim?

ANTONINA: Nie.

SOCHA: Bo ja myślałem....

ANTONINA: Powiedziałam już - nie.

SOCHA: Tak... No to w porządku.... Co to ja chcia-
łem powiedzieć.... / Z większym niż poprzed-
nio zapalem / No to ja się biorę do poprzed-
Będę siedział po pracy, jak głupi. To się
nazywa studium zaoczne, no i tak jest urzą-
dzone, że można u siebie w domu.... Może
będzie czasem ciężko...

ANTONINA: Jak będzie ciężko, to ja panu z przyjemnością
pomogę. Jeżeli coś jeszcze ze szkolnej
nauki pamiętam, z wszystkimi wątpliwościami
będzie pan przychodził do mnie.

SOCHA: To będzie fajnie. Muszę dać rady. Nie, no
naprawdę dam rady. A jak mi się powiedzie to
i na uniwersytet pójde. Pojadę durnia z
siebie robić to i co. Może mi pójdzie, kto
wie. Rany, czy to mi dawniej przyszkodził do
głowy, że ze mnie może jeszcze co być. Aż
mi głowę rozsądza!

ANTONINA: Kiedy^x/pomyśle, że takich jak pan jest tyle
x/ się
siące...

SOCHA: No dobrze, w porządku. Ale co my zrobimy bez
chirurga? Dokąd kierować chorych? Kiedy
prześlę kogo najego miejsce? Nam potrze-
ba kilku nowych lekarzy, a zamiast tego
jeden ubywa.

ANTONINA: Tak, jest wiele rzeczy do omówienia, jutro
mamy zebranie. Trzeba żeby wszyscy praco-
wnicy szpitala byli obecni.

SOCHA: Przyjdą. Teraz chętnie przychodzą na zebrania,
bo widzą, że się naprawdę coś robi, jaki
dobry pomysł miała siostra Ludwika z tym
Rentgenem. Albo pomocnica kucharki, jak
mówiła o tej salce dla niemowląt. Ale
ważne jest, jakby przyjechał nowy doktor,
że już zastanie zgranych ludzi, początek
kolektynu, żeby już nie mógł urządzać ka-
waków jak Zwardoń, albo jak Winiarski
dawniej. Żeby nam tylko nie rozbił roboty.
Z tą siostrą Terką jest bieda. To szko-
dniczka.

ANTONINA:

SOCHA:

Nie damy się.

A jak ja zostanę doktorem... To dopiero będzie. I wtedy, wtedy... niech pani pamięta.. Za za sześć lat będziemy mieli ważną rozmowę.

ANTONINA:

SOCHA:

Mój Boże, sześć lat. Ja będę miała wtedy czterdzieści sześć.

/ wyzywająco / A ja ponad czterdzieści. To i co?

ANTONINA:

SOCHA:

Pan się zjawi ze śliczną, młodą żoną, a ja starucha będę się cieszyła waszymi dziećmi.

To się jeszcze da widzieć. Ale co tam gadać. Ja pani teraz powiem tyle: jakby u pani co złego, czy w rodzinie, czy nieprzyjemności jakie, to zawsze do mnie.

ANTONINA:

MATKA:

Dobrze. Będę pamiętała, / długi uścisk dłoni /
/ zaglądając przez drzwi /
Antosiu, proszę cię na chwilę.
/ Antonina wychodzi. Socha przechadza się
wzburzoną po pokoju /.

SCENA V.

/ Socha - Wera /

WERA:

Ja do pani doktor. Ach, ty tu?

SOCHA:

To my znowu, jesteście na ty?

WERA:

Czemu nie. Byliśmy kiedyś ze sobą dobrze.

SOCHA:

Już zapomniałam.

WERA:

Tak prędko? A dużo razy chciałaś mi przypomnieć.

SOCHA:

Ohyba tylko raz. I wtedy słyszałam, że jak człowiek raz głupstwo zrobi, to się później całe życie odciąć nie może.

WERA:

Mało czego kobieta w zdenerwowaniu nie powie.

SOCHA:

My też mamy nerwy.

WERA:

Maciuś, a możebyś przyszedł wieczorem. Pogadałoby się o tym i o owem.

SOCHA:

Dziękuję. Nie. Dobranoc, / Wbiega /

SCENA VI.

/ Wera - Antonina /

ANTONINA:

To pan Socha już poszedł.

WERA:

To pan Socha tu był? Nie wiedziałam so.

ANTONINA:

Czy siostra czego sobie życzy ode mnie?

WERA:

/ płacze / Pani doktor, pani doktor, co ja mam robić!

ANTONINA:

Coś się stało w szpitalu?

WERA:

Nie. Tu chodzi o mnie... I o niego.

ANTONINA:

Nie wiem czemu pani zwraca się z tem do mnie. Nie umiem udzielać rad..

WERA:

A do kogo mam się zwrócić? Z kim tu można po ludzku pogadać? Pani jest kobietą, pani musi mi poradzić.

ANTONINA:

Nigdy nie czuła pani do mnie sympatji, sabotowała pani moje zarządzenia na każdym kroku, szkodziła mi pani w niarę możliwości, czemu pani przychodzi ze swojemi troskami właśnie do mnie?

WERA:

Bo pani zna jego. Bo pani unika się do niego zabrać. Bo pani wie, jak z nim trzeba mówić. On nie chce mnie wysłuchać. Nawet nie patrzy w moją stronę. On wyjeżdża. A ja ... ja jestem w ciąży.

ANTONINA:

Czy mam przypuszczać, że pani była tak nieodświadczonym stworzeniem...

WERA:

Może i nie byłam. Ale żeby dziecko.... Myślałam że mnie z dzieckiem nie porzuci. A on! To pani wina! To pani!

ANTONINA:

Czy pani przyszkła się radzić, czy wymyślać?

WERA:

Nie wiem, już sama nie wiem. Co ja mam teraz robić? / milczenie / Pani mi musi coś poradzić. Pani może zo-

ANTONINA:

Nie. Nie ma żadnego powodu. To dziś nie jest żadnym nieszczęściem. Niech pani będzie dzielna i wyjdzie ładnie z tej całej sprawy. Urodzi pani dziecko, będzie pani na nie pracować i będzie je pani kochać.

WERA:

Ja nie zniosę tego wstydu.

ANTONINA:

Nie ma żadnego wstydu. Minęły te czasy, kiedy macierzyństwo było wstydem. Czy ma pani rodzinę?

WERA:

Ja się nie pokażę w domu.

ANTONINA:

Są domy Matki i Dziecka, gdzie pani może spędzić spokojnie czas przed tym i potem. Może pani zresztą zostać u nas w szpitalu, pracować póki będzie pani mogła, a kiedy dziecko przyjdzie na świat, a pani wróci do zdrowia, znów zabrać się do pracy.

WERA:

Ja nie chcę, nie chcę. Zamiast pomóc mi naprawdę, daje pani takie rady. Tu mieć dziecko, żeby każdy się litował, żeby gadali. Pójdę sobie stąd, pójdę!

ANTONINA:

Niech pani przestanie płakać. Niech pani przemyśli, co powiedziałam. Mieć dziecko to wielkie szczęście. Jeżeli pani tu zostanie, będziemy wszyscy troszczyć się o was oboje. /Wera wybiega/

SCENA VII.

ANTONINA

/Antonina - Matka - Winiarski/

WINIARSKI:

Można? Lubię tu do pani przyjść, pogadać. Słyszaka pani, że Zwardon ma wyjechać?

ANTONINA:

Tak, zostajemy we dwoje, dyrektorze. Ze starej ekipy. Nie licząc dwóch sióstr i pewnej Marcysi, na którą pan dyrektor dotąd mało zwracał uwagi. Ale i ona wkrótce odfrunie.

WINIARSKI:

Przyjadą nowi. Zapowiedziany jest pediatra i chirurg. Ale to swoją drogą rzecz przykre. Takie rozstanie. Nie lubię zmian.

ANTONINA:

A jeszcze tyle zmian nas czeka dyrektorze. Tyle jeszcze trzeba zrobić w szpitalu, tak bardzo go rozbudować. Zmiana to piękna rzecz dyrektorze.

WINIARSKI: Było nie na gorsze.

ANTONINA: To już nasza rzecz, żeby było na lepsze.
To już od nas zależy.

WINIARSKI: Nie zawsze.

ANTONINA: Prawie zawsze, dyrektorze. Każdy jest na swoim odcinku twórcą przyszłości, każdy z nas ją urabia i każdy w swoim zakresie jest za nią odpowiedzialny.

WINIARSKI: Ciężko mnie staremu do tych nowych czasów się naginać.

ANTONINA: Czy to trzeba się naginać? Trzeba poczuć i zrozumieć ich wielkość, a wtedy lata nie mają znaczenia. Nie wolno nawet panu parę miętać o swoich latach. Teraz ma się parę wiązek być młodym. To jest piękny obowiązek, dyrektorze. Iść na spotkanie obowiązku nadchodzi z ciekawością, z radością, z ufnością. Bo chyba się nigdy tak mocno nie żyło jak teraz.

WINIARSKI: I z takim wysiłkiem!

ANTONINA: Oóż, wysiłek jest najlepszą kuracją odmładzającą. Widzę to zresztą po panu. O ile więcej ma pan w sobie żywotności, rozmachu, ochoty do pracy niż wówczas kiedyś-my się poznali.

WINIARSKI: Może i racja.

ANTONINA: Będzie nam tu niedługo dość samotnie, dyrektorze, ale pracy będziemy mieli coraz więcej, to nasza pociecha. Przybędą nowi ludzie i pokażemy im, jak powinien wyglądać szpital nawet na dalekiej prowincji, właśnie na dalekiej prowincji. I razem z nimi pokażemy że będzie wyglądał jeszcze lepiej coraz lepiej.

WINIARSKI: Ano co robić, będziemy razem pchali tę taczkę dalej.

ANTONINA: Brzydkie porównanie. Taczkę pchają skazańcy. My będziemy pilotami, którzy razem wsiądą do pięknego samolotu i pofruną w przyszłość.

MATEK: A ja tak myślałam zawsze że ona w końcu wyjdzie zamarą i nareszcie zazna trochę spokoju.

ANTONINA: Nie chcę spokoju, mam. Spokój, to koniec życia.

A K T III.

O d s k o n a II

S c e n a 1.

/Antonina - Ziembek, wchodzi rozmawiając.
Mieszkanie Antoniny/

ZIEMBEK:

Ogromnie jestem rad, że trafiłem na to wasze zebranie. Widzi się już wyraźnie, że powstaje u was prawdziwy kolektyw szpitalny, że wszyscy - no, powiedzmy prawie wszyscy - pracownicy przejmują się pomyślnością i dobrym funkcjonowaniem zakładu. Ulepszacie, rozbudowujecie, staniecie się niedługo dumą naszego miasta.

ANTONINA:

/z uśmiechem/: Napije się pan herbaty?

ZIEMBEK:

Z przyjemnością. I nawet bym coś przegryzł. Jestem cały dzień w objeździe i nie było czasu wziąć cokolwiek do ust. W dodatku, żona wyjechała też na konferencję. Czasem nie widzimy się całymi dniami. I tu wiedziałem, że mnie poratują, nagoją, nakarmią. Tak mi się chce posiedzieć, pogadać o byle czym.

ANTONINA:

Bardzo się z tego cieszę, ale najgorsze to, że nic a nic nie wierzę. Pan jest zbyt zajęty, żeby tracić wieczór na takie sobie beztreściwe pogaduszki. - jeżeli dziwnym przypadkiem nie zbyt zajęty, to zbyt zmęczony.

ZIEMBEK:

Jednym słowem, nie wierzy pani, że bym pił tę herbatę bezinteresownie?

ANTONINA:

Możemy i tak to nazwać. Musi być jakaś sprawa...

ZIEMBEK:

Nie jedna sprawa. Tysiąc. Ale najpierw napije się herbaty.

ANTONINA:

/Nakrywa stół, podaje jedzenie/: Czy to konieczne żebyśmy dziś o nich mówili? Muszę szczerze powiedzieć, że jestem zmęczona i że właściwie wszystko co najważniejsze w tej chwili omówiło się na zebraniu. - czemu więc właściwie w tej chwili?...

ZIEMBEK:

Ach nie, źle mnie pani zrozumiała.
 Ani mi się śni mówić o sprawach szpital-
 nych. Tak sobie chciałem pogawędzić. O
 waszym tutaj życiu. O ludziach. Na przykład
 czy Socha się uczy?

ANTONINA

Naturalnie. Przerabia studium zaoczne.

ZIEMBEK:

Pani mu pomaga?

ANTONINA

No pewno. Jak mam czas.

ZIEMBEK:

To dobrze. Nie jest łatwo w jego wieku
 usiąść nad podręcznikami. Będzie z niego
 pociecha, jeżeli starczy mu cierpliwości.
 Doktor Winiarski też się jakoś podciąga.

ANTONINA:

To mało. Doktor Winiarski odmłodził.
 Jest bardzo czynny, nawet przestał całe
 wieczory spędzać przy bridżu. Ludny jest
 czasem, ale jednocześnie nieoceniony.
 Można by napisać całe studium psycholo-
 giczne o przemianie jaka w nim zaszła.

ZIEMBEK:

Nie potrzeba żadnych psychologicznych
 studiów. Zmiana warunków, zmiana możli-
 wości... To jest taka śpiąca królewna,
 która zasnęła w martwym prowincjonalnym
 bagienku i obudziła się w nowym świecie,
 pełnym życia, pełnym zapachu i młodości.
 Nie dziwnego że przetrwała/... wiek nie tu
 nie znaczy.

x/ oozy.

ANTONINA:

To prawda.

ZIEMBEK:

Wielu ludzi się tak dziś podciąga i daje
 ze siebie o wiele więcej, niżby się sami
 spodziewali. Wielu ludzi miało przed wojną
 przed nosem mur, nie było gdzie dążyć.
 Teraz się otworzyła szeroka droga.

ANTONINA:

I dlatego chyba mogą żyć i pracować ludzie,
 którzy dosięgli w czasie wojny najgorsze
 nieszczęścia, którzy przeżyli najstraszliw-
 sze koszmary. Warto im żyć.

ZIEMBEK:

A cóż dopiero młodzi i szczęśliwi.

ANTONINA:

Dla starych też się znalazło nadspodzie-
 wanie dużo miejsca. Choćby taki Winiarski.
 Zrzędzi i narzeka, a przecież ubył mu
 lat i pracuje tak jak nigdy nie pracował
 dawniej. I rozumie też o wiele więcej niż
 dawniej.

ZIEMBEK:

To się nazywa duchowym wzrostem. A jak dopiero rosną ludzie, których kapitalistyczne warunki tłamsiły sztucznie. Choćby ta wasza Marcysia na przykład. Jak dziś przemawiała na zebraniu!

ANTONINA:

Marysia jest wspaniałą kobietą i bardzo ją kocham, ale chyba już czas, żeby pan przystąpił do rzeczy. Strasznie pana lubię, ale wiem, że jest pan zbyt zajęty, żeby tak przyjść tylko po to, żeby rozmawiać sobie o ludziach.

ZIEMBEK:

A jednak przyszedłem żeby rozmawiać o ludziach. A raczej o jednym człowieku.

O kim?

ANTONINA:

Wie pani dobrze. Albo się pani domyśla.

ZIEMBEK:

Nie mam nic do powiedzenia o doktorze Zwardoniu.

ANTONINA:

ZIEMBEK:

Więc jednak się pani domyśliła o kogo chodzi. Tak, chciałbym o nim z panią rozmówić. Wie pani przecież że on się stara o stanowisko w stolicy. Musi pójść od nas opinia.

ANTONINA:

Nie pojmuję czemu właśnie ja bym miała o nim dawać opinię. Od tego jest dyrektor.

ZIEMBEK:

To swoją drogą. Ale tak już jest, że mam więcej zaufania do zdania pani. Winiarski pracował z nim parę lat i jakoś był zadowolony. Nie wiem, czy jest dość krytyczny.

ANTONINA:

Bardzo wątpię, czy ja daję większe gwarancje krytycyzmu.

ZIEMBEK:

Rozumiem. Wiem. A jednak właśnie pani zdanie chciałbym usłyszeć.

ANTONINA:

Co pan wie? Że jak to się mówi, mieliśmy się ku sobie? Więc skąd pan wie, że nie będę go chwalić, bo się w nim kocham, albo ganić, bo mnie zawiodł. Albo przeciwnie, albo jeszcze inaczej /Zrywa się/ Dość już tej rozmowy. Nie mam zamiaru nic mówić o doktorze Zwardoniu.

ZIEMBEK:

Nieskusznie. Bardzo nieskusznie. Zdawało mi się, że pani jest właśnie typem kobiety, która potrafi się wznieść ponad osobiste

sympatje czy zale...

ANTONINA:

Tu nie o to chodzi, mogę po prostu nie chcieć o kimś mówić.

ZIEMBEK:

Zaraz, chwileczkę. To nie jest towarzyska rozmowa, pani zdała sobie odrazu sprawę z sensu mojej wizyty. To nie jest też oficjalny wywiad, oczywiście. To jest poważne, powiedziałbym obywatelskie rozważenie, jakie są dane i możliwości człowieka, który się ubiega o ważne i odpowiedzialne stanowisko. Nic mnie nie obchodzi co panią łączyło z doktorem Zwardonem. Szanuję pani zdanie jako lekarza i jako człowieka, który choć nie jest członkiem partii posiada poczucie odpowiedzialności społecznej.

ANTONINA:

Niech pan mi nie mówi komplementów, nie powiem ani słowa.

ZIEMBEK:

Czy pani wie, że taka niechęć do mówienia o kimś jest już opinią?

ANTONINA:

To nie to, pan nie rozumie. Ja nie chcę mówić o nim ani źle, ani dobrze. /po chwili/. Zresztą nie pojmuję, on jest partyjny musicie więc mieć o nim wyrobione zdanie.

ZIEMBEK:

W partii naszej nie ma miejsca dla ludzi jak dr. Zwardon. Daję pani dowód szczerunku wspominając o tym. Chcemy jednak wiedzieć o nim jak najwięcej, dobrze zdać sobie sprawę... Jego nie idea postawiła w naszych szeregach, tylko nadzieja na jakąś tam karierę. Nie rozumiem że partia ma od swoich członków wymagania wielkie i surowe. Ale to pani nie dotyczy. Pani natomiast może mi pomóc, abym zdał sobie dobrze sprawę z jego kwalifikacji ludzkich i zawodowych. Czy nie potrafi pani wyjść po-za granice osobistego stosunku do tego człowieka? Czy pani kobieta...

ANTONINA:

Dosyć. Moja kobiecość nie ma tu nic do rzeczy. Ale jest dla mnie coś przykrego w takim wydawaniu cenzurki, zwłaszcza że ja słyszę doktor Zwardon jest teraz w złej skórze, że grozi mu wyrzucenie z partii, a może to się już stało i że wszystko złe, jakiegoby o nim powiedziała może się obrócić przeciwko niemu.

ZIEMBEK:

A tak, a tak. Ale pani mylnie, fałszywie na te rzeczy patrzy. Ciąży na pani

balast dawnych mieszczańskich pojęć, kiedy to zła czy dobra opinia mogła człowiekowi pomóc lub zaszkodzić w jego prywatnym przedsięwzięciu i wobec tego lojalność nakazywała milczeć. Dziś każdy z nas jest członkiem społeczeństwa zdążającego do socjalizmu i każdy, kto może być szkodnikiem, szkodzi ogółowi. Jeżeli pani myślała źle o Zwardoniu będzie go ochraniała swoim milczeniem, to rachunek za to milczenie zapłaci społeczeństwo, poszczególni ludzie, którzy zwrócą się do niego o pomoc. Nie chcę używać górnolotnych słów, mówię konkretnie. Czy jeżeli stanie on na czele szpitala u nas, albo w Warszawie, nie ucierpią na tym chorzy? Czy szpital pod jego kierownictwem spełni swoje zadania? Lekarz oprócz zdolności fachowych musi być człowiekiem, jak jest z człowieczeństwem Zwardonia? Czy potrafi on w szpitalu stworzyć atmosferę ofiarnej pracy? Tu nikogo nie obchodzi, czy pani serce płacze na jego widok, ja chcę prawdy i ci którzy mnie o Zwardonia pytają chcą prawdy nie dla swojej przecież korzyści. - pani chce się od tej prawdy wykręcić.

ANTONINA:

- jeżeli doktor Zwardon zranił mnie i teraz się zechce na nim mścić?

ZIEMBEK:

To postaramy się odróżnić zemstę osobistą od obiektywnego sądu.

ANTONINA:

A jeżeli doktor Zwardon popełniał błędy na tutejszym stanowisku, czy musi to znaczyć, że będzie je popełniał i na innym ?

ZIEMBEK:

Nie, ale lepiej żeby sobie i on i jego otoczenie zdało sprawę wcześniej. Na bardziej odpowiedzialnym stanowisku będzie mógł być bardziej szkodliwy niż tutaj, podobnie jak jego zalety będą mogły szerzej się rozwinąć. Bo przecież on ma i zalety, jak sądzę.

ANTONINA:

Dobrze więc. Powiem co o nim myślę, choć wcale nie jestem pewna, czy należy przywiązywać taką wagę do mego zdania. Powiem, ale nie za oczami. Jeżeli pan niechętnie przeciwko temu, poproszę by zawołano doktora Zwardonia i przy nim, tylko przy nim powiem to co mam do powiedzenia.
/wychodzi wraca po chwili/

ZIEMBEK: Tak to będzie najlepiej. Skuszone postępowanie.

SCENA 2

/Antonina / Ziembek - Zwardon/

ZWARDON: Moje uszanowanie. Czemu zawdzięczam to radosne zaproszenie? /sposstrzegając to bika, zmienia ton/. Dzień dobry. Czy Ziembek ma jakiś interes do mnie?

ANTONINA: /martwym głosem/ Niech pan siedzi. Sprawa jest taka, że podobno ubiega się pan o jakąś poważną sytuację w szpitalnictwie w Warszawie i pan Ziembek powiada, że my tutaj będziemy ponosili moralną odpowiedzialność za to jak pan tam się będzie wyżywał i pracował, że my tu znając pana, musimy wydać o panu opinię. /Zwardon do Ziembeka/ Towarzyszu nie rozumiem...

ZIEMBEK: O ile mi wiadomo, nie jesteśmy towarzyszami. Doktor Leśna nie chciał wydać opinii o panu poza plecami i dlatego tylko jeszcze raz się spotykamy.

ZWARDON: Więc czeka mnie rodzaj śledztwa, czy tak?

ZIEMBEK: Nie. Panie tu pewien sąd o panu. Jeżeli się wyda panu niesprawiedliwy niech się pan broni.

ZWARDON: Wyobrażam sobie jaki będzie ten sąd. Ale że pani się na to zgodziła, podziwiam.

ANTONINA: Wahałam się. Ale zrozumiałam, że tu nie chodzi o pana, tylko o chorych, o instytucję, która jest naszym wspólnym dobrem. Zrozumiałam, że my tutaj ponosimy moralną odpowiedzialność za to, jak się tam pan będzie zachowywał i pracował. To nie może być tak, że pan stąd znika i nie nas już więcej nie obchodzi. To jest nasz szpital i tam dokąd pan pójdzie też jest nasz szpital i wszystkie szpitale są nasze... /bezradnie/ Nie wiem czy mówię z sensem...

ZIEMBEK: Według mnie - tak.

ZWARDON: Według mnie - nie. To co nie zyskało łaski w pani oczach może się bardzo

podobać w stolicy. To co tutaj uważane było za zaletę, tam może okazać się wadą. Pozwalam sobie po-za tym powątpiewać o obiektywności sądu dektór Leśnej. Zresztą może sobie mówić pani, co się podoba. Sprawa w Warszawie jest przesądzona.

ZIEMBEK:

Co to to nie. Stosunecki, protekcyjki, to już mija, tego będzie coraz mniej, to zaniknie zupełnie. Jeżeli ma pan odpowiednie kwalifikacje obejmie pan to stanowisko, ale tylko wtedy. /głucho/ Chcecie mnie zniszczyć...

ZWARDON:

ZIEMBEK:

Nie jest pan komunistą i nigdy pan nim nie był. Nie ma pan w sobie nawet zadatków na komunistę. Pańskie wstąpienie do partii było wstępnym, koniunkturalnym posunięciem. Komunistą to trudne i zaszczytne pojęcie. Trzeba sobie na nie zasłużyć. Ale nikt nie zamierza pana zniszczyć. Może się jeszcze pan społeczeństwu przydać. Tylko w jakim zakresie, to jest właśnie dla mnie pytanie. I dlatego zapytałem o zdanie dektór Leśnej.

ANTONINA:

Kończmy tę rozmowę, nie jest przyjemna dla nikogo z nas. Przystępuję do wydania opinii.

ZWARDON:

/z wściekłością/ Może pani sobie tego trudu zaoszczędzić. Nie wątpię, że co było jadowitego, już pani powiedziała, że to co ma teraz nastąpić, to już tylko czysta forma.

ZIEMBEK:

Widzi pani, może nie potrzebne było wzywanie tego pana tutaj?

ANTONINA:

To już mi wszystko jedno, co on sobie myśli. Ja chcę być w porządku ze sobą. Nie przewlekajmy! bardzo proszę, nie przewlekajmy. Moja opinia o doktorze Zwardoniu jest taka:

Jest to bardzo dobry chirurg, zwłaszcza w sprawach kostnych. Lepszy technik niż diagnosta. Niezmiernie cenna siła dla każdego szpitala.

ZWARDON:

Jestem bardzo pani wdzięczny za to zdumiewające odkrycie.

ANTONINA:

Doktor Zwardon posiada wiele zalet towarzyskich, które mogą być przydatne w pewnych wypadkach.

ZIEMBEK:

W jakich?

- ANTONINA: Nie wiem, ale chyba mogą. Przyjemniej jest pracować z człowiekiem wesołym dowcipnym, niż z jakimś mrukiem lub gburem. Doktor Zwardon jest bardzo uprzejmy i miły w obejściu. To jest ważne. Posiada wiele uroku osobistego, co dobrze działa na niektórych pacjentów a zwłaszcza pacjentki.
- ZIEBEK: Niebardzo rozumiem...
- ANTONINA: A jednak tak jest. Doktor obdarzony urokiem osobistym może mieć dodatnie psychiczne działanie. /pauza/
- ZWARDON: Bardzo przyjemnie jest tak siedzieć na cenzurowanym. Chyba już teraz przejdziemy do wad, bo te zawsze zachowują się na deser.
- ANTONINA: Tak, teraz przejdziemy do wad.
- ZWARDON: Założę się, że będzie ich dużo więcej od zalet.
- ANTONINA: Czy ja wiem? Może będzie tylko jedna, ale zato zawierająca w sobie wszystko: Doktor Zwardon nie jest ideowym lekarzem, nie jest ideowym człowiekiem.
- ZWARDON: Pojęcie mgliste.
- ANTONINA: Czy tak? Ja rozumiem pod tymi słowami, że doktorowi Zwardonowi obojętne są losy szpitala, byle jego dział stał dobrze. Nie, myślę się, nawet losy działu są mu mniej więcej obojętne, byle jemu samemu udało się od czasu do czasu efektowna operacja. Nie interesują go chorzy. Bywa bezwzględny i brutalny. Nie zrezygnuje z żadnej swojej wygody albo przyjemności na rzecz swej pracy. Traktuje wreszcie inaczej chorych płacących i chorych skierowanych przez Ubezpieczalnię. Nie ujmuje swojej pracy z punktu widzenia jej użyteczności społecznej! tylko osobistego popisu. To chyba wszystko co mogę powiedzieć...
- ZWARDON: Jak na krzyk zawiedzionej miłości wcale nie wiele.
- ZIEBEK: Niewiele też, jak na obiektywną ocenę. Doktor Zwardon dopuścił się też wielu karygodnych zaniedbań i nazwijmy to po - błazniwie lekkomyślności, których ceną mogło być życie ludzkie. Według opinii jakie

zebrałem, nie nadaje się na kierownicze stanowisko.

ZWARDON:

Nikt nie ma prawa żądać od nikogo bohaterstwa i poświęceń. Wystarczy chyba dobre wypełnianie swego fachu. Jestem pierwszorzędnym chirurgiem. Czy tak wielu ludzi może się tym poszczycić?

ZIEMBEK:

Nie. Ale nie wydaje mi się, aby naprawdę można było dobrze wypełniać swój fach, jeżeli go się traktuje bezdusznie, nie obejmując szerszych horyzontów, nie uważając go za wspólny ważny wkład w dzieło wspólnej budowy. Można i trzeba nawet ulice zamiatać z poczuciem ważności społecznej swojej pracy. Nie ma prac nieważnych, nie ma takich które możnaby traktować bezdusznie. A cóż dopiero praca lekarza. Bohaterstwo i ofiarność w pracy? Dziś tysiące robotników inteligentów, chłopów wydaje przykłady bohaterstwa i ofiarności w pracy. Zapewne nikt tego od pana nie może wymagać. Ale też nie może się pan spóźniać, żeby pańska praca była nadmiernie wysoko oceniona. Pan jest człowiekiem zdolnym, ale moralnie i ideologicznie należy pana zdyskwalifikować. Uprzedzam pana, że taka właśnie opinia pójdzie za panem w ślad.

ZWARDON:

Bardzo wiele zawdzięczam drogiej koleżance.

ZIEMBEK:

Opinia ta jest oparta nie tylko na sędzi dr. Leśnej, ale na wypowiedziach całego kolektywu szpitalnego. Jeżeli pan chce, możemy urządzić zebranie ogólne w tej sprawie.

ZWARDON:

/Cicho/ Nie trzeba. Słuchajcie towarzyszu...

ZIEMBEK:

Powiedziałem już że nie jestem pańskim towarzyszem.

ZWARDON:

Koleżanko...

ANTONINA:

/z męką/: Cóż ja mogę poradzić? Powiedziałam przecież prawdę. Jeżeli nie, to niech pan zaprzeczy... Ale przecież pan może postarać się zmienić... przemyśleć... nie wiem... zrozumieć, że to o chorą... że tak jak pan - nie można... że pana stać na coś więcej...

/ Zwardon zrywa się i wypada przez drzwi/
S C E N A 3
/Antonina - Ziembek/

ANTONINA: Nic nie powiedział. Uciekł.

ZIEMBEK: To może lepiej, niż gdyby dużo gadał...

ANTONINA: Czy pan myśli, że on się może zmienić?

ZIEMBEK: Wszystko możliwe. Wierzę w ludzi. Ale przebudować się wewnętrznie - to wiele czasu zabiera. Mam poprawda niewiele nadziei. Zacznie teraz od nowa, wśród innych ludzi. Zobaczmy...

ANTONINA: W Warszawie.

ZIEMBEK: Czemu zaraz w Warszawie? Mało jest miast i miasteczek w Polsce? Wszędzie jest pracy aż za wiele. Na stanowiska kierownicze go nie wezmą. Ale jako chirurg jest społeczeństwu potrzebny. I do niego należy, jaką sobie opinię w nowym środowisku wyrobi.

ANTONINA: Jestem bardzo, bardzo zmęczona.

ZIEMBEK: Przepraszam, to moja wina. Ale wydaje mi się, że ta rozmowa była potrzebna. I jemu, i pani. No i mnie. - teraz odchodzę. /wychodzi/

S C E N A 4

/Antonina - Socha/

SOCHA: Pani sama? Można wejść? Przejrzy pani moje zadania?

ANTONINA: Co. Kto to? Ach pan! No naturalnie. Niech pan zapali lampę na stole.

SOCHA: Ale pani zdaje się zmęczona?

ANTONINA: Ja? Wcale. Z czym pan sobie nie mógł tym razem poradzić? Z matematyką?

SOCHA: Jak zwykle. Ale w ogóle to jakoś mi robota idzie dobrze, tamte prace wróciły prawie bez poprawek.

ANTONINA: Widzi pan. Wiedziałam. No to teraz bierzmy

się do lekcji. Ja sama już dobrze tego
wszystkiego nie pamiętam, przyda mi się
też przerobić...

/Siadają przy stole, rozkładają zeszyty,
książki/

Ja jednak muszę być jakiś tępy, że jeszcze
i z pomocy pani korzystam. Inni tego nie
mają.

SOCHA:

Zato pan przerobi kurs prędej
/przegląda zeszyt/

ANTONINA:

Dobrze tak siedzieć, pracować...

SOCHA:

Bardzo dobrze...

ANTONINA:

/K O N I E C/.

